WTOREK
Nr 94 88-08-09 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Za 39 dni igrzyska...

KOLARZ DOSKONAŁY

Uwe Ampler (na zdjęciu) wygrał Wyścig Pokoju już po raz drugi. Zwyciężał też w jeszcze trudniejszych imprezach. Właściwie do uzupełnienia posiadanej kolekcji medali brakuje mu tylko olimpijskiego. Syn znakomitego niegdyś kolarza Klausa Amplera (lidera WP — 1963) ma ogromne szanse i na to trofeum. Jest wyjątkowo mocny, umie ścigać się po górach i po nizinach, doskonale rozgrywa walkę na finiszowych metrach pod względem taktycznym. Trener Wolfram Lindner umieści go zapewne i w składzie wyścigu drużynowego.

Ampler wspólnie z Ludwigiem i pozostałymi zawodnikami NRD będą wyjątkowo mocną grupą. I kto wie, czy w tej sytuacji zwycięzca 40 i 41 WP nie zdobędzie dwóch olimpijskich medali: za jazdę indywidualną i zespołową. Kto zna się na kolarstwie i wie, jak mocny jest „silnik" enerdowskiego kolarza — ten ma prawo przypuszczać, że Uwe Ampler jest głównym kandydatem na jedno z miejsc olimpijskiego podium. **(zp)**

Fot. **CAF**

11-letni uczeń z Kalifornii przeleciał Atlantyk

Dokonał tego wyczynu Christopher Marshall, czyli po prostu Krzysztof. Przeleciał on przez Atlantyk jednosilnikowym samolotem, stając się tym samym najmłodszym lotnikiem, który pokonał tę trasę. W tym miejscu warto przypomnieć, iż pierwszym pilotem, który pokonał w locie Atlantyk był również Amerykanin, Charles Lindbergh. Miało to miejsce w dniach 20–21 maja 1927 roku. Lindbergh pokonał Atlantyk na trasie z Nowego Jorku do Paryża (5809 km) w 33 h 12 minut lecąc samolotem „Spirit of St. Louis" o mocy silnika 220 KM. Niestety, nie wiemy jakim samolotem leciał Christopher i jak długo trwał przelot nad „wielką wodą". Agencje prasowe podały natomiast iż 11-letni Amerykanin swój wielki rajd rozpoczął w San Diego (Kalifornia) 7 lipca. Do wschodniego wybrzeża nad Atlantykiem leciał etapami wraz z pilotem amerykańskiej marynarki wojennej w stanie spoczynku Randy Cunninghamem. Natomiast przez Atlantyk przeleciał sam. **(b)**

NA TARCZY! STR. 4

„Sześćdziesiątka" rozpoczyna czwórbojowe zmagania. W tej konkurencji wypadliśmy dobrze

XVIII Międzynarodowy Wakacyjny Turniej „Świata Młodych" i „Trommla" (NRD)

DZIŚ KOŃCZYMY ELIMINACJE!

Pierwsza faza naszego wakacyjnego turnieju dobiega końca. Ostatnie mecze eliminacyjne można rozegrać jeszcze dziś, tj. 9 sierpnia. Przypominamy, że wykazy przeprowadzonych spotkań (potwierdzonych podpisem osoby dorosłej i dowolną pieczątką) należy wysłać najpóźniej 12 sierpnia. O ważności przesyłki decyduje data stempla pocztowego.

Zgodnie z regulaminem imprezy do finału krajowego awansują cztery drużyny, które zostaną wyłowione drogą losowania spośród dwudziestu najbardziej aktywnych w czasie wakacji zespołów. Zawody centralne odbędą się w Myśliborzu (woj. gorzowskie) w dniach 20–21 sierpnia — na nasz koszt. Drużyny, które awansują do finału krajowego zostaną o tym fakcie powiadomione. A oto adres, pod którym należy wysyłać wykazy: **„Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, z dopiskiem na kopercie „Turniej".**

Do zobaczenia na finale!

Komitet Organizacyjny

FIRMA POETYCKĄ „ZŁOTY SZERSZEŃ"

Łąka

Na łące
ułożyć się można wygodnie
zamknąć oczy...
Zdumiona pszczoła
potknie się o kwiatek
widząc wielkoluda
Włochata gąsienica
dostanie czkawki
Zwabiony kolorem cytrynek
siądzie na sukience
i odleci z oburzeniem
A ziemia pachnąca słońcem
otulona niebem
uśmiecha się i czeka
aby przygarnąć z równą miłością i dumą
mrówkę i człowieka

Magda Zawisławska
Warszawa

WIT-ek ● WIT-ek

WIT-ek czyli Wakacyjny Informator Turystyczny.

● WIT-ek dziękuje za dziesiątki pozdrowień ze Zlotu ZHP. Dziękuje za zlotowe kartki i za zaproszenia na wspólną wędrówkę po Warmii i Mazurach.

● **Róża** z Poznania poleca gorąco **Beskid Sądecki.** *„Co roku część wakacji spędzam w Krynicy. Zarówno latem jak i zimą to uzdrowisko przyciąga nie tylko kuracjuszy, ale i turystów. Jest gdzie spacerować, jest gdzie zjeść. Warto wybrać się na Jaworzynę Krynicką, pojechać kolejką na Parkową Górę. Kto tu jest, powinien zajrzeć do uroczego Starego Sącza, do Nowego Sącza, i do Grybowa, i do Rytra..."*

Do listu Róża dołączyła ciekawe kartki. M.in. tę z mapką (fot. 1).

● **Marek** **mieszka w Szklarskiej Porębie** i bardzo swoje miasto poleca turystom, bo „jest ono bazą wypadową w Karkonosze i Góry Izerskie, bo jest tu pięknie, bo są góry (od 1959 Karkonoski Park Narodowy) z bogatą florą i fauną.

Piesze wędrówki ułatwia wyciąg krzesełkowy na Szrenicę. Dolną stację zlokalizowano w dzielnicy Marysin na wysokości 708 m n.p.m. Wyciągiem można przebyć 3037 m od podnóża do szczytu w ciągu 25 minut.

Bardzo uczęszczanymi i pięknymi miejscami są dwa wodospady — Kamieńczyk i Szklarka. Pierwszy na północnym stoku Szrenicy na wysokości 840 m. Wody spadają z 27-metrowego progu skalnego...

Wodospad Szklarki jest u podnóża Łabskiego Szczytu, a woda spada z wysokości 10 metrów."

W samym mieście Marek poleca uwadze turystów: **poewangelicki kościół** w Szklarskiej Porębie Dolnej — znajdują się w nim obrazy Vlastimila Hofmana, **barokowy kościół** z XVIII w. przy ul. Piastowskiej **pomnik przyrody** — „lipa sądowa", w Szklarskiej Porębie Średniej — **dom Vlastimila Hofmana,** młodopolskiego malarza, ucznia Jacka Malczewskiego (ekspozycja obrazów), **dom Gerharda Hauptmanna,** wielkiego pisarza niemieckiego, laureata Nagrody Nobla, **zabudowania huty szkła kryształowego z XIX w.** — muzeum oraz zakład produkcyjny. Można zwiedzać! Na terenie całego miasta liczne piękne chałupy przysłupowe i zrębowe.

Szklarska Poręba jest gotowa na przyjmowanie turystów przez cały rok. Są noclegi w schroniskach, kwaterach prywatnych i pensjonatach. Dogodne połączenia z Jelenią Górą zarówno autobusowe jak i kolejowe.

● „Od pomnika do pomnika" — kolejny odcinek przewodnika Michała Szarego. Dziś o pomniku tego, który „wstrzymał słońce, ruszył ziemię, polskie go wydało plemię" - czyli Mikołaja Kopernika. Już 158 lat (z przerwą pięcioletnią) siedzi na Krakowskim Przedmieściu przed pałacem Staszica. To dzieło B. Thorvaldsena miało więcej szczęścia niż statua księcia Poniatowskiego — odsłonięty w 1830 roku, przesiedział szczęśliwie aż do momentu pełnego pogromu Warszawy w 1944 roku. Był natomiast obiektem znaczących manifestacji patriotycznych w okresie okupacji hitlerowskiej. Gdy Niemcy przesłonili na cokole tablicę napisem w języku niemieckim, przyznając Kopernikowi obywatelstwo niemieckie, Alek Dawidowski (*kto nie czytał „Kamieni na szaniec" Aleksandra Kamińskiego, niech to szybko zrobi — uwaga WIT-ka!*) 11 lutego 1942 roku niemal na oczach policjanta zsunął tablicę prosto w zwały śniegu. W odwet za ten czyn gubernator Warszawy rozkazał zniszczenie pomnika Jana Kilińskiego. Rok później, w momencie składania kwiatów z okazji 400. rocznicy śmierci Astronoma, śmiertelnie raniony został młody poeta Wacław Bojarski...

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

● WIT-ek ● WIT-ek

Byłeś... widziałeś... chcesz, aby inny zobaczyli to co Ty — napisz do WIT-ka.

WIT-ek zbiera „wakacyjne plotki". WIT-ek przekazuje aktualne informacje, wiadomości, ciekawostki.

WIT-ek w każdym wakacyjnym numerze „Świata Młodych".

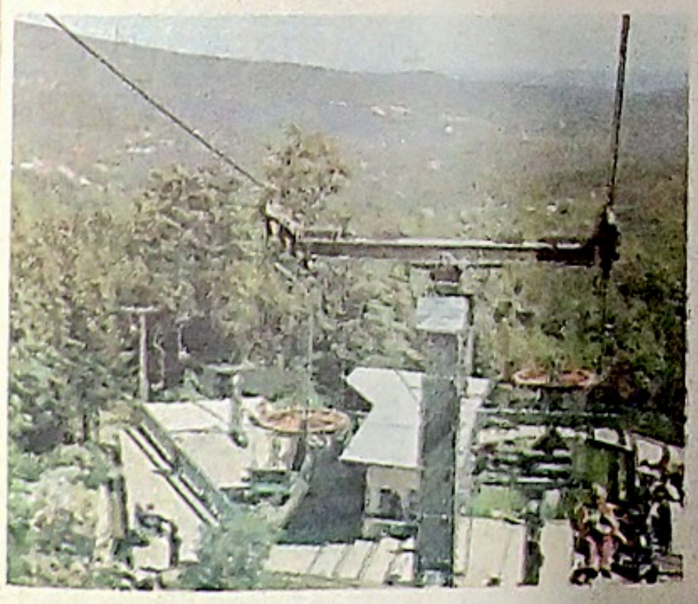

REPORTER Świata Młodych

SKĄD TWÓJ RÓD

Uczono ich w różnych językach...

Moja prababcia Albina urodziła się w 1900 roku w Sitnicy (obecnie ZSRR). Jej ojciec był leśniczym w majątku. Wraz z mężem Pawłem zamieszkali również w Sitnicy. Byli bogaci, bo pradziadek miał własny maty tartak; mieli nawet parobka, który u nich pracował. Babcia opowiadała mi, że na Wielkanoc zawsze jedli pieczone prosię.

Prababcia urodziła pięć córek. Najstarsza z nich, Wanda — jest mamą mojej mamy. W roku 1941 pewnej nocy żołnierze radzieccy przyszli po nich i całą rodzinę wywieziono na Syberię. W drodze zmarła z głodu najmłodsza z dziewcząt — dwuletnia Emilka. Pradziadek Paweł zmarł na serce na Syberii.

Po wojnie nie mieli po co wracać na swoją ziemię; bo tej wsi już nie było, Niemcy spalili wszystkie domy, a ludzi zagnali do stodoły i też spalili. Tak zginęła żona brata prababci Albiny i ich osiem córek. W 1946 r. prababcia Albina z czterema córkami przyjechała na ziemie odzyskane do wsi Głęboczek. Tu dotknął ją następny ciężki cios — w drodze do pracy zginęła pod lokomotywą jej młodsza, szesnastoletnia córka Roma. Zostały jej trzy córki, które powychodziły za mąż. Wanda, tzn. moja babcia, miała sześcioro dzieci. Najstarsza Halina to moja mama.

Teraz przedstawię rodzinę mamy (po mieczu). Pradziadek Franciszek (syn Baltazara ożeniony z Rozalią) mieszkał w galicyjskiej wsi Kępie-Zaleszany. Byli bardzo, bardzo, biedni. Nie mieli ziemi. Rozalia chodziła do domów bogatych ludzi i prała im bieliznę, żeby zdobyć trochę grosza. Franciszek po wsiach lutował garnki. Mieli dwóch synów. Młodszy z nich — Józef, to mój dziadek. Przed wojną wyemigrowali do Francji za chlebem. Byli tam kilka lat i gdy już mieli wracać do Polski z zaoszczędzonymi pieniędzmi, zostali okradzeni... Wrócili więc z niczym. Wkrótce wybuchła wojna. Franciszek zmarł, a jego żona ze starszym synem została wywieziona na roboty do Niemiec. Dziadek Józef pojechał tam nawet na ochotnika i był zadowolony, bo wreszcie miał co jeść. Nie było mu tak źle u niemieckiego bauera.

Po wojnie przyjechali na ziemie odzyskane i osiedlili się we wsi Rąpin. Wkrótce przez swatów Józef poznał Wandę, moją babcię. W czwartek poznali się, a już w sobotę dali na zapowiedzi. Po ślubie zamieszkali w opuszczonym przez Niemców domu (elektryczność założono tam dopiero w 1978 r.!) Mieli 4 ha ziemi, a oprócz tego dziadek pracował w tartaku. Dziadek przedtem w ogóle nie chodził do szkoły, nie umiał więc czytać i pisać. Kiedy moja mama zaczęła chodzić do pierwszej klasy, to dziadek zaczął się uczyć na kursie dla analfabetów i teraz już umie pisać i czytać. Mama, jako jedyna z rodzeństwa, skończyła technikum, a ja marzę o tym, żeby jako pierwsza z rodziny skończyć studia.

Kolej na rodzinę ojca (po kądzieli). Prababcia Maria (ur. 1901) miała ośmioro dzieci. Róża była jej najstarszą córką, a moją babcią. Mieszkali pod zaborem pruskim w Brzezinach Śl. Chodziła do niemieckiej szkoły. Jej ojciec często był bezrobotny, matka więc chodziła do bogatych Niemców i Żydów prać bieliznę. Moja babcia często jej w tym pomagała, poza tym musiała opiekować się młodszym rodzeństwem. Do jej zadań należało też gotowanie. Młodszy brat zbierał węgiel koło torów i sprzedawał go piekarzowi, a za zarobione pieniądze kupował smalec, cukier lub okrawki u rzeźnika, żeby było co jeść. Zaraz po skończeniu szkoły babcia podejmowała różne prace, żeby pomóc rodzinie. Już przed samą II wojną światową wyszła za mąż za Henryka i przeprowadziła się do jego rodzinnego domu. Tam urodziła syna w 1941 roku. Jej mąż poszedł na front, a ona z dzieckiem została bez środków do życia... Zarabiała haftowaniem. Po wojnie, gdy dziadek szczęśliwie powrócił i zaczął pracować, mieli jeszcze dwoje dzieci. Najmłodszy Teodor, to mój tata. Wybudowali sobie dom, ale teraz mają ciągle kłopoty, bo pod ziemią znajdują się kopalnie i ściany domu pękają.

A oto rodzina mojego taty (po mieczu). Pradziadek Jan od dziada pradziada mieszkał na Śląsku. Jan, chociaż był Polakiem, w czasie I wojny światowej znalazł się w niemieckim wojsku i walczył pod Verdun we Francji. Mieszkał we wsi Świerklany. Po ślubie z Zofią przeprowadził się do Niewiadomia, gdzie urodził się mój dziadek Henryk, jako jeden z sześciorga ich dzieci. Gdy wybuchła II wojna światowa, został wcielony do niemieckiego wojska i wywieziony do Francji, gdzie pilnował obiektów przemysłowych. Nie chciał iść do tego niemieckiego wojska, ale bał się o żonę i syna. Jego brat nie poszedł do wojska i całą wojnę musiał się ukrywać. Gdy tylko nadarzyła się okazja, dziadek wraz z innymi poddał się i dostał się do niewoli. Zmieniono im nazwiska (by w razie znalezienia się w rękach Niemców nie wiedziano, że przedtem byli w niemieckim wojsku) i już walczył po stronie polskiej. Był w armii Andersa i walczył we Włoszech. Gdy wojna się skończyła, chciano ich wywieźć do Anglii. Mówiono, że nie mają po co wracać do Polski, bo wszystko zburzone. Dziadek jednak wrócił do żony i syna. Najpierw pracował jako kowal, a potem został maszynistą na kolei. Miał tam ciężki wypadek — został porażony prądem; ocalał cudem. Po roku leczenia w klinice przeszedł na rentę. Ale nie umie siedzieć bezczynnie. Teraz ma 72 lata i pracuje na pół etatu.

Podsumowując — mogę stwierdzić, że moje korzenie sięgają trzech zaborów. Chociaż przodkowie mówili różnymi językami, to polskość w nich przetrwała. Byli prostymi ludźmi i może nie zdawali sobie sprawy, jaką rolę w ich życiu wyznaczyła historia, ale wiedzieli, że są Polakami. Byli „mali", ale również z takich „małych ludzi" składa się nasza ojczyzna. Nie dane im było osiągnąć majątku i wykształcenia. Musieli zabiegać o każdy dzień, żeby przetrwać.

Nasze pokolenie ma szansę zdobyć to, czego nie mogło zdobyć pokolenie naszych przodków...

Monika Rybnik

Gdyby dąb przemówił...

Ja dość dokładnie poznałam losy swej rodziny, ponieważ do dziś żyją (i oby żyli jak najdłużej) moi pradziadkowie. To dzięki nim właśnie i zachowanym (nielicznie zresztą) fotografiom, dowiedziałam się, jakie wydarzenia wyryły w ich pamięci głęboką bruzdę.

Szczególnie wiele opowiedziała mi i opowiada moja prababcia, która ma obecnie 79 lat. Dlatego też może najpierw opiszę jej dzieciństwo i młodość. Urodziła się ona 25 października 1909 r. na wsi, w rodzinie chłopskiej. Jej dzieciństwo nie było usłane różami. Już od najmłodszych lat musiała pracować na polu u dziedzica. Ojciec mojej prababci — Franciszek był robotnikiem, a matka — Katarzyna pracowała w polu i opiekowała się dziećmi. Prababcia miała liczne rodzeństwo: trzech braci i siostrę. Wszyscy oprócz niej i jej brata — Sylwestra już nie żyją. Urodziła się i mieszkała w zaborze rosyjskim. Chodziła też do rosyjskiej szkoły, uczyła ją jednak polska nauczycielka. Najwięcej uwagi poświęcano robótkom ręcznym i rozmaitym haftom. Najbardziej jednak polubiła moja prababcia wiersze i do dziś pamięta ich wiele, a gdy recytuje je słabym, zmęczonym głosem, często w jej oczach widzę łzy. Zastanawiam się, dlaczego? Może chciałaby być znowu młodą, zdrową dziewczyną?

Po skończeniu szkoły w 1921 r. pracowała wraz z rodzicami w polu, a potem poszła pracować do leśniczówki; sadziła też małe drzewka w szkółkach leśnych. Wspomina, że było jej i jej rodzinie bardzo ciężko. Gdy poznała swego męża, a mojego pradziadka, miała lat 20. Po ślubie w 1929 r. przeniosła się do domu męża i tam opiekowała się swoim teściem, a moim prapradziadkiem — Stanisławem, który był chory.

Podobnie potoczyły się losy mojego pradziadziusia. Urodził się on 5 stycznia 1902 r. również w rodzinie chłopa, na wsi. Mieszkał w zaborze rosyjskim. Jego ojciec — Stanisław był człowiekiem poważnym i sprawiedliwym. Został sołtysem we wsi. Pradziadziuś pamięta jak jego ojciec prowadził skrupulatne zapiski w wielkiej księdze. Dotyczyły przede wszystkim spraw finansowych. Zachowały się one do dziś.

Matka mojego pradziadka, Katarzyna, pracowała w polu i zajmowała się domem. Pradziadek ukończył podobnie jak moja prababcia 4 klasy. Poznał doskonale język rosyjski. Nawet do dziś pamięta niektóre wyrazy i imiona swych kolegów z wojska. Umie też wiele rosyjskich piosenek.

W 1921 r. pracował w kopalni „Jowisz". Wspomina, że praca była trudna i niebezpieczna. Często do kopalni chodził pieszo. Był i jest nadal człowiekiem spokojnym. Nigdy do polityki nie mieszał się. Od czasu do czasu wygłasza tylko swoje poglądy na tę lub inną sprawę. W 1923 r. poszedł do polskiego wojska. Służył w nim 2 lata.

Ale wróćmy do roku 1929, a więc do ślubu mojego pradziadka z prababcią. Po ślubie zamieszkali w małym, drewnianym, ale czystym i schludnym domku. Po dwóch latach na świat przyszła ich pierwsza córka — Helena (moja babcia) i w dwa lata później druga córka Zofia (moja ciocia, która już nie żyje). Gdy wybuchła II wojna światowa babcia miała 8 lat. Pradziadziuś już w 1939 r. poszedł do wojska i walczył na Śląsku. W roku 1943 zaczęły się masowe wysiedlenia ludności polskiej. Przyszła kolej i na wioskę, w której mieszkali moi pradziadkowie.

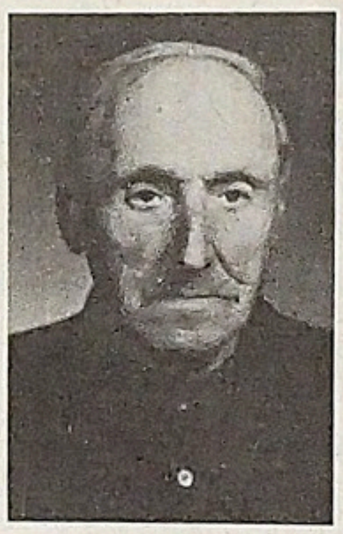

Mój pradziadziuś

Ten pełen grozy moment pamięta prababcia do dziś. Do domu wszedł niemiecki żołnierz i z karabinem wycelowanym w dzieci krzyczał po niemiecku i wskazywał na drzwi, lecz w tym momencie spostrzegł klęczącego i modlącego się ojca pradziadka, który przygnębiony chorobą wcale już prawie nie chodził. Ta scena rozrzewniła Niemca i gestami zaczął pokazywać, że pradziadek ma zostać w domu. A po chwili zastanowienia rozkazał, aby i cała rodzina została. Prababcia do dziś pamięta twarz Niemca, który uratował całej rodzinie jeśli nie życie, to zdrowie, który uchronił ich od tułaczki. Jednak mimo tego, że nie zostali wysiedleni, to i tak musieli pracować u Rumuna — Ferdynanda Bauckantnera, który zajął wszystkie opuszczone gospodarstwa i ziemię. Praca w polu u tego Rumuna nie była łatwa. Prababcia wspomina, jak kradła ziemniaki ze swojego własnego pola! Taka kradzież groziła śmiercią, lub wywiezieniem do obozu zagłady. W 1945 r. Ferdynand Bauckantner zmuszony był iść do wojska, zaś mój pradziadek niedługo potem odwiózł jego żonę do pobliskiego miasteczka na stację kolejową.

Moja prababcia gdy była młoda

Zbliżała się wolność. Żywą pamiątką tamtych lat, lat wojny i pokoju, jest wielki rozłożysty dąb, który rośnie na podwórku u moich pradziadków. Jest on dla nich wielką pamiątką, a szczególnie dla pradziadziusia, bowiem jego ojciec — Stanisław zasadził to drzewo w roku 1905. Ten dąb rośnie nadal i rósł razem z dziećmi pradziadków, razem z dziećmi dziadków. Nie mogę sobie wyobrazić podwórka bez tego dębu. To drzewo jest jakby cząstką naszej rodziny...

Monika Piela

Tak oto ułożyły się losy mojej rodziny

Historię tę opowiedziała mi moja babcia. Jej rodzice, czyli moja prababcia i pradziadek mieszkali pod zaborem austriackim w Galicji. Ojciec mojej prababci był tzw. włodarzem i zapisywał chętnych do pracy w Niemczech. Zimą sporządzał listy, a na wiosnę, lato i jesień wyjeżdżał z tymi ludźmi do Niemiec i był ich kierownikiem. Swą przyszłą żonę poznał właśnie podczas takich zapisów. Chociaż była tylko biedną sierotą, to jednak bardzo mu się spodobała. Po ślubie zamieszkali w miejscowości Piędle. Tam urodziły się im bliźniaczki: moja babcia Aniela i jej siostra Maria. Ponieważ młodzi chcieli mieć większe i nowsze gospodarstwo, więc przeprowadzili się do Nowego Kamienia nad Sanem w powiecie Nisko. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży starego gospodarstwa i oszczędności kupili tam dom z kawałkiem pola. W Nowym Kamieniu na świat przybyli kolejno: Zofia, Stanisław i Józef — rodzeństwo babci.

Rodzinie zaczęło się żyć coraz ciężej i trudniej. Pradziadek postanowił, że wyjedzie „za chlebem" do Ameryki. To zamierzenie zrealizował około 1913 roku. Wrócił wraz z rozpoczęciem I wojny światowej, której wybuch zastał go na morzu w drodze powrotnej. Po trzech dniach pobytu w kraju znalazł się w austriackim wojsku. Walczył w szeregach kawalerii. Niestety nie wiem, gdzie i w jakich bitwach brał udział.

W 1918 roku Polska uzyskała upragnioną niepodległość. Pradziadek wrócił z wojny do domu i wraz z żoną zajął się gospodarstwem. W Nowym Kamieniu mieszkali do 1933 r. W tym właśnie roku (tzn. 1933) zapadła decyzja wyjazdu na Wołyń, gdzie ludziom żyło się podobno lepiej. We wsi Małyńsk pradziadkowie dostali kawałek lasu, który musieli najpierw wykarczować, aby osiedlić się tam i zamieszkać. Szczęśliwie im się to udało. Uprawiali ziemię i chociaż nie byli bogaci, to jednak wiodło im się lepiej niż w Nowym Kamieniu.

W 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Jednak na Wołyń dotarła ona właściwie dopiero w roku 1943 wraz z frontem. Jeszcze przed tym rokiem zaczęły się nocne napady na Polaków, którzy się tam osiedlili. Ich sprawcami była ludność ukraińska. Tuż po obiedzie rodzina mojej babci musiała z częścią dobytku pakować się na wóz i jechać do oddalonej o 2 km szkoły, w której zbierali się na noc wszyscy Polacy z tego terenu. Rano wracali do domów z brakiem pewności czy dom jeszcze stoi, czy pozostały już tylko zgliszcza. Smutne i wstrząsające jest to wszystko, ale, niestety, prawdziwe.

W 1943 roku, w marcu, z powodu choroby zmarł mój pradziadek. W lipcu tego roku rozpoczęły się masowe ewakuacje Polaków z Wołynia do Niemiec. Moja babcia miała już wtedy męża i trzyletnie dziecko. Całą rodziną trafili do obozu koncentracyjnego w Dachau. Stamtąd zabrano ich na roboty do gospodarzy — Niemców. Babcia była kucharką, a dziadek pracował przy budowie torów. W ten sposób przeżyli wojnę. A po jej zakończeniu wszyscy (tzn. matka i rodzeństwo mojej babci) w komplecie spotkali się w Monachium. Postanowili, że pojadą do Polski, a nie, jak wiele rodzin, do Ameryki. Koniecznie chcieli zamieszkać na wsi i uprawiać ziemię, z którą byli związani przez wiele lat. Tak nakazywała rodzinna tradycja.

Osiedlili się w zachodniej Polsce, na ziemiach odzyskanych. Trafili w 1946 do małej, ale uroczej miejscowości nad Odrą. Tu babcia urodziła jeszcze trzech synów i córkę, która jest właśnie moją mamą.

Jolanta (lat 15)
woj. legnickie

REDAKCYJNA POCZTA

Jestem zakochana!

Mam 13 lat, skończyłam VI klasę z dobrymi wynikami, mam cudowną rodzinę, którą bardzo kocham i nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niej.

No tak, ktoś sobie pomyśli, że nie mam żadnego kłopotu na głowie. Tak nie jest, gdyż jak to najczęściej bywa u dziewczyn w moim wieku, zakochałam się w pewnym chłopcu, o imieniu Rafał. Jest z tego samego miasta i z tej samej szkoły. Starszy jest ode mnie o rok, dostajemy po jego klasie książki (gdyż ja jestem w VIc, a on w VIIc). Wiem jeszcze gdzie mieszka, co lubi robić, że nie pali papierosów i to chyba wszystko.

On o mnie wie trochę mniej, ale za to doniesiono mu o moich uczuciach do niego.

Ktoś może spytać dlaczego ma to być kłopot, jeśli wiedzą o sobie? Co więcej potrzebne jest dziewczynie i chłopakowi do chodzenia? Oto odpowiedź: my ze sobą nie rozmawiamy i nigdy nie rozmawialiśmy. Bardzo marzę o tym, żeby nastąpiła taka chwila, w której on zaproponuje mi chodzenie. Jeśli to nastanie, to będzie najszczęśliwsza chwila w moim życiu. Jestem w nim tak szalenie zakochana, że odmówiłam chodzenia dwóm chłopakom.

Chciałabym, żeby Rafał przeczytał ten list i zastanowił się, nad pierwszym krokiem, na którym mi tak zależy.

Zrozpaczona Kaśka

Ta trzecia...

Mam 14 lat i jestem stałą czytelniczką „ŚM", ale najbardziej podoba mi się wasza „niebieska wstążeczka."

Długo zastanawiałam się ale w końcu postanowiłam napisać. Chodzi o moją koleżankę, a właściwie przyjaciółkę. Gdy rok temu przeniosłam się do obecnej szkoły, zaprzyjaźniłam się z Olą. Po pewnym czasie poznałam ją „od wewnątrz" i od innych dowiedziałam się o jej prawdziwym obliczu. Przez parę dni Oli nie było w szkole, więc zaczęłam kolegować się z Kaslą (dawną przyjaciółką Oli), która wyznała mi, że nie bardzo lubi Olę i woli mnie. Ja też bardzo Kasię polubiłam. No i zaczęło się... Ola wróciła, a ja siedziałam już z Kasią, razem wszędzie chodziłyśmy, no i było fantastycznie. Mogłam jej wszystko powiedzieć, ona mnie też.

Ponieważ Ola została sama, zaczęła mieszać między nami. I tak raz ja byłam z Olą, raz Kasia. Ponieważ jednak nasza przyjaźń (Kasi i moja) była mocna, nasze kłótnie szybko przemijały i znów do siebie wracałyśmy, wyznając sobie jak to było nam bez siebie źle. Nie tak dawno nie chodziłam przez parę dni do szkoły z powodu choroby, a gdy wróciłam, zauważyłam, że Kasia jest z Olą. Owszem kolegowały się też ze mną, teraz Kasia przychodzi do mnie, ale to już nie jest to. Czuję się przy niej obco, a przecież bardzo, bardzo, bardzo... ją lubię i nie mogę zostawić tego w takim stanie.

Nie chcę się chwalić, ale mam dużo koleżanek i kolegów, jestem chyba lubiana i nawet inna koleżanka powiedziała mi, żebym z nią siedziała, ja jednak nie mogę. Nadal lubię Kasię, ponadto nasi rodzice się znają, a po drugie Ola ma już koleżankę, z którą siedzi.

Błagam, pomóżcie. Łudzę się nadzieją, że wszystko będzie tak jak dawniej, ale już dłużej tak nie mogę. Pomóżcie!!! Tylko nie piszcie, że mam znaleźć sobie inną koleżankę i zostawić Kasię. Nie mogę. Co zrobić? Jak wytłumaczyć Oli, że bardzo mi na Kasi zależy. Pomóżcie. Może ktoś z czytelników był w podobnej sytuacji. Błagam, pomóżcie!

Zrozpaczona

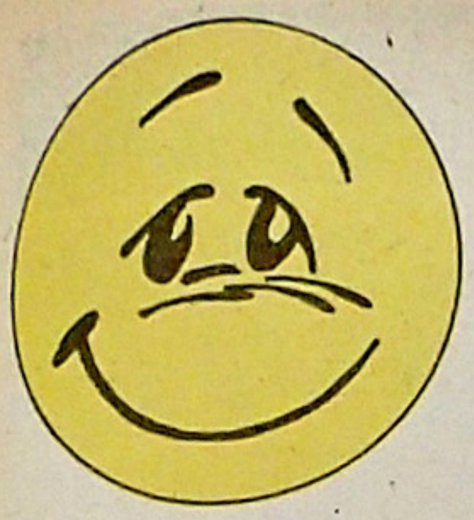

ZAPROSZENIE

Zapraszamy wszystkich czytelników do Leszna na I Mistrzostwa Świata Juniorów w Modelarstwie Lotniczym, które odbędą się w dniach 8-15 sierpnia

Już dzisiaj (9 VIII) o godzinie 16.00 nastąpi uroczyste otwarcie połączone z pokazami wszystkich dyscyplin lotniczych!

Zawody odbywać się będą codziennie od godzin rannych do późnego popołudnia. Uroczyste zakończenie mistrzostw w dniu 14 VIII o godzinie 19.00 połączone będzie z widowiskiem „światło i dźwięk". Wstęp na lotnisko wolny.

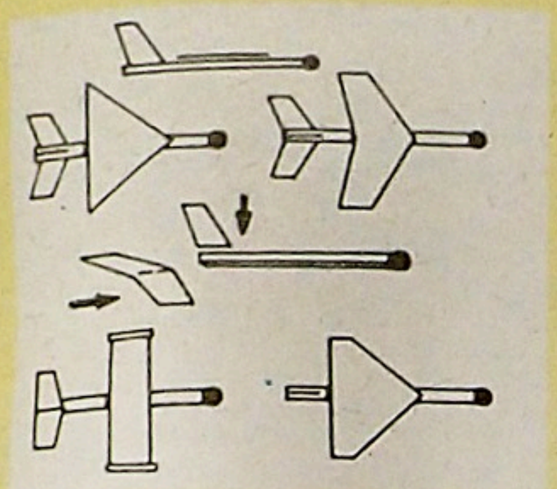

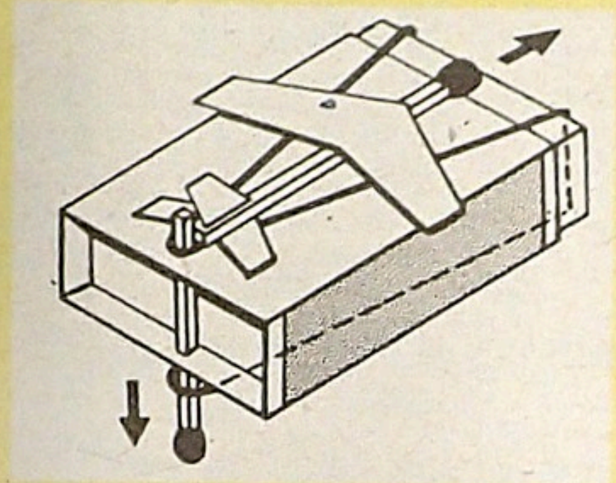

LOTNISKO NA PUDEŁKU

Potrzebujesz pudełko od zapałek, klej, karton, zapałki, gumkę-recepturkę. Teraz możesz zabrać się za budowę lotniska i samolocików.

Zapałka będzie kadłubem, do niej przykleisz wycięte uprzednio z kartonu skrzydła. Do rozciętej na końcu zapałki wklej ster kierunkowy. Wszystko wyjaśnią rysunki — prezentujemy na nich różne typy samolocików, sposoby umieszczenia skrzydeł i sterów.

Druga zapałka jest „stoperem" utrzymującym gumkę-katapultę. Po wyciągnięciu zapałki (dołem) zwolniona gumka pchnie samolocik.

Nie udało się? Spróbuj jeszcze raz. Praca konstruktora wymaga cierpliwości i myślenia. Może karton jest zbyt gruby, może model za duży do lotniska. Przy takich wielkościach pod uwagę musi być brany każdy milimetr...

Powodzenia!

KOMINY I STUDNIE

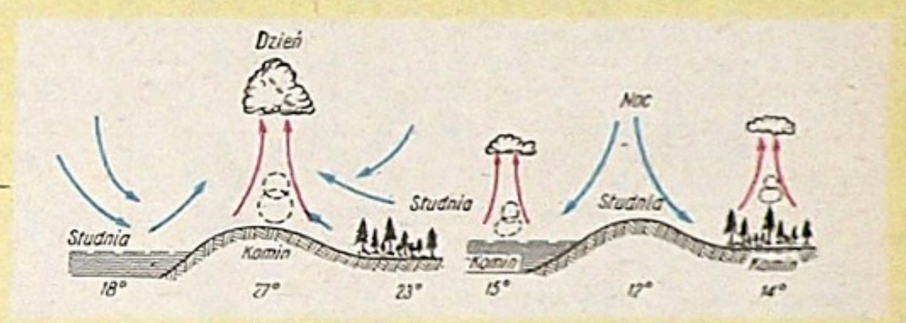

Prądy wznoszące tak istotne dla szybowników, lotniarzy, baloniarzy, modelarzy lotniczych mogą być wywołane przez wiatr lub przez nagrzanie powietrza. Prądy termiczne w ciągu dnia powstają nad terenami tzw. jasnymi — piasek, pola dojrzałego zboża, miasta. Tworzy się nad takim termicznym kominem kłębiasta chmura zwana cumulusem. Natomiast nad lasami, czy jeziorami powstają prądy „duszące" nazywane też studniami.

Wieczorem jest odwrotnie — nagrzany las czy jezioro dłużej utrzymują ciepło i wówczas tworzą się nad nimi prądy wznoszące, a „duszenie" ma miejsce nad terenem „jasnym", który szybciej chwyta ciepło, ale i szybciej je traci.

Kiedy nad teren silnie nagrzany przez długo utrzymujące się upały napłynie zimne powietrze, nagrzewa się, wówczas powstają również prądy wznoszące, a znaczą je rzędy cumulusów ustawione w długie szeregi (raj dla szybowników!).

Kominy termiczne bardzo chętnie wykorzystują bociany. Warto poobserwować te ptaki krążące w powietrzu z nieruchomymi skrzydłami. Wiedzą zresztą o tym szybownicy i w poszukiwaniu wznoszeń śledzą widnokrąg szukając bocianów. Bywa zresztą i odwrotnie. Bociany podglądają szybowników!

Co tydzień konkurs

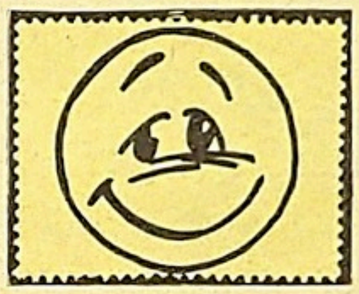

Chcesz zdobyć zdjęcie z autografem wspaniałej szybowniczki, pani Adeli Dankowskiej (pisaliśmy o jej zmaganiach powietrznych w ostatnim „Świecie Młodych") — weź udział w błyskawicznym konkursie!

Zorganizuj zawody w locie na odległość modelików startujących z pudełkowego lotniska. Wystarczy jeśli w zawodach wezmą udział dwie osoby.

W meldunku z zawodów podaj liczbę startujących samolocików i najlepszą odległość uzyskaną w tych zawodach.

Na meldunek czekamy tylko przez tydzień tzn. do 16 VIII. Na kartce pocztowej zaadresowanej do „Świata Młodych" przyklej kuponik zamieszczony powyżej.

● Pierwsze wzloty na szybowcach — skrzydłach wykonał w 1891 roku Niemiec — Otto Lilienthal. To właśnie Jego imię nosi obecnie najwyższe międzynarodowe odznaczenie w sporcie szybowniczym.

● Pierwszym Polakiem, który uniósł się w powietrze na skrzydłach własnej konstrukcji, nazwanych „Lotnią" był artysta-malarz Czesław Tański. Miało to miejsce w 1896 roku. Był to jednocześnie pierwszy w świecie lot ze startu z terenu płaskiego. Imię Czesława Tańskiego nosi medal nadawany polskim szybownikom.

● Pierwsze w Polsce zawody szybowcowe odbyły się w Białce k. Zakopanego w dniach 28 VIII — 13 IX 1923, czyli 65 lat temu!

Z piosenką pogodniej

Wtorek, godzina 10.00 program IV Polskiego Radia — słuchamy, śpiewamy, uczymy się śpiewać.

Dziś śpiewamy piosenkę ze słowami **Ireny Kautz,** muzyką **Andrzeja Hundziaka** —

„Wycieczka"

Pójdziemy na wycieczkę
i ty i ja
i ja i on.
Do lasu i nad rzeczkę
i ty i ja
i on

Tra la la la
tra la la la
tra la la la la la la

Znajdziemy przygód
beczkę
i ty i ja
i ja i on.
Śpiewając piosenneczkę
i ty i ja
i on

Tra la la la...

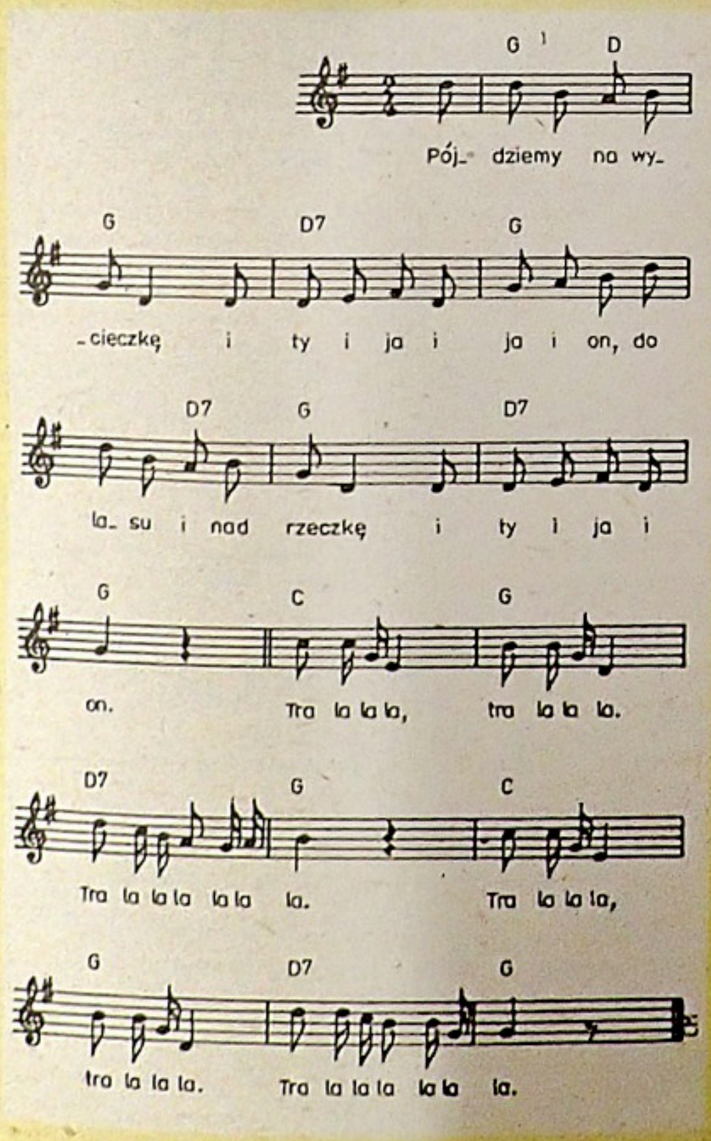

Te książki bardzo polecamy!

Repr. M. Włodarski

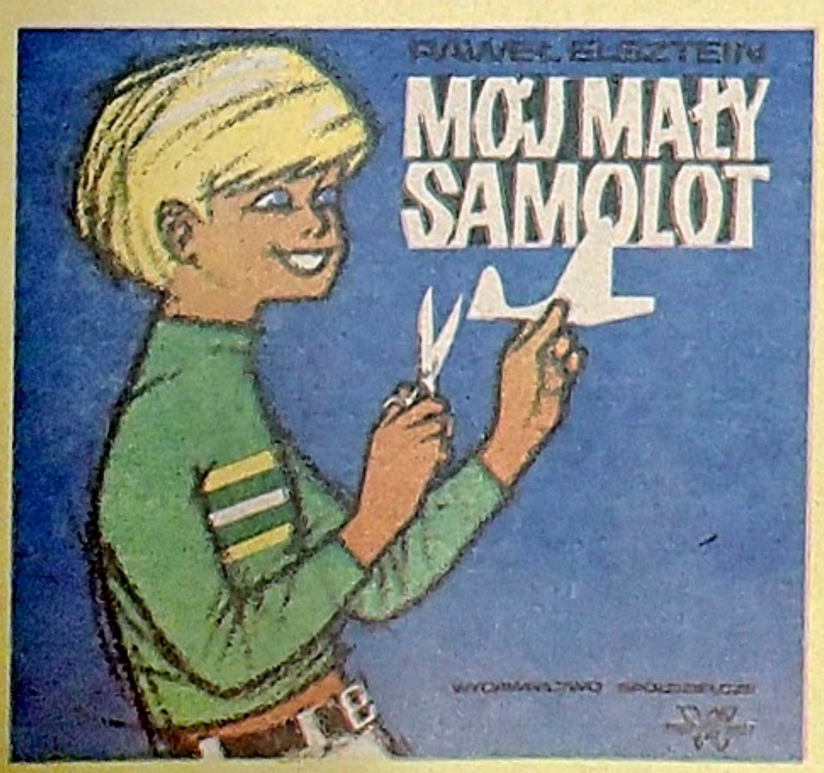

NA TARCZY!

800 m. Jeszcze tylko jedno okrążenie stadionu i po zawodach. Kolejny międzynarodowy finał odbędzie się w Rumunii

Tak skacze wzwyż Węgierka Timea Toth

To były idealnie zorganizowane i przeprowadzone zawody. Na pięknym stadionie ASK „Vorwats" w Poczdamie spotkali się czwórboiści dziewięciu krajów. Mimo wspaniałych warunków (tartanowa bieżnia, znakomicie przygotowane skocznie i rzutnie) dotychczasowych rekordów nie poprawiono. Ale zacięta rywalizacja toczyła się o każdy centymetr i ułamek sekundy. Taka jest zresztą tradycja zawodów, którym patronujemy — niezależnie od wyników walczy się tu zawsze i do końca. Tradycyjnie też generalny sukces przypadł ekipie węgierskiej. W jej szeregach najwięcej było zwycięzców poszczególnych konkurencji. Nasz puchar powędrował więc do Dunajvaros. Polskie drużyny (dziewczęta — szkoła nr 14 z Gdyni i chłopcy — szkoła nr 2 z Iławy) wypadły słabo. Jeszcze raz okazało się, że rywale czynią systematyczne postępy. My — cofamy się, też systematycznie. Ale po kolei...

Sprinterski popis Piotra

Zaczęło się zupełnie dobrze. Startujący w grupie „indywidualistów" **Piotr Tymko** z Piły (szkoła nr 4) okazuje się najszybszym sprinterem imprezy. W biegu na dystansie 60 m uzyskuje czas 7,44 sek. Na mecie wyprzedza nawet zawsze doskonałych w tej konkurencji Kubańczyków. Ale czarnoskóry **Blanco Rafael** z Hawany także potrafi finiszować i uzyskuje trzeci rezultat dnia. Wiceliderem zostaje długonogi reprezentant Rumunii — **George Babeanu.**

Równie pasjonującą walkę staczają dziewczęta. Podoba się zwłaszcza Czechosłowaczka **Damian Farkasowa** (8,03 sek). Nasze reprezentantki zajmują dalsze miejsca, a najlepsza z nich, **Eliza Krzewska,** przegiega „sześćdziesiątkę" w czasie 8,6 sek.

Achillesowa pięta

Na skoczni wzwyż najlepsi są zawodnicy radzieccy. Jeszcze przed rozpoczęciem konkursu faworytem był **Siergiej Iratow.** Na finale krajowym w ZSRR uzyskał wysokość 192 cm. Powszechnie spodziewano się, że zawsze uśmiechnięty Sieroża ustanowi nowy rekord czwórboju. Ale tak się nie stało. Rosjanin pokonał poprzeczkę na wysokości 183 cm. Jego kolega z drużyny, **Leonid Kuźniecow**, uporał się z rezultatem niższym o 3 cm. Reprezentanci Iławy skakali poniżej swoich możliwości (przeciętny wynik — 147,5 cm) i w tej konkurencji stracili chyba szanse na zajęcie lepszego miejsca w końcowej klasyfikacji.

Jeszcze gorzej spisały się na skoczni gdynianki. Mimo wysiłków żadnej z nich nie udało się pokonać poprzeczki powyżej 145 cm. Szkoda! W historii czwórbojowych startów bywało i tak, że od tej wysokości nasze dziewczęta rozpoczynały dopiero swoje występy... Pierwsze zwycięstwo odnosi znakomita **Timea Toth** z Węgier. Późniejsza triumfatorka w punktacji zespołowej i indywidualnej demonstruje nienaganny technicznie flop i uzyskuje 172 cm, tyleż samo co **Jarka Namestkova** z Czechosłowacji.

Kubańska specjalność

Kubańczycy potrafią miotać piłeczką. W tej konkurencji zwyciężają od lat i często posyłają okrągłą gumową kulę (150 g) na odległość ponad 100 m. Tym razem do „setki" trochę zabrakło, ale i tak Blanco „machnął" daleko — 91,34 m. Niektórzy z naszych chłopców ustępowali mu... o połowę odległości. Jednak **Darka Thamma** należy pochwalić — rzucił 75,64 m. Szkoda, że ten najlepszy, w drużynie zawodnik nie błyszczał na skoczni wzwyż (145 cm). Miał szansę na lepsze miejsce w ostatecznej punktacji.

Węgierki znowu są w czołówce, a po rzucie **Halinal Szechnyi** na tablicy świetlnej zapalają się cyferki 68,94. Najlepsza z naszych dziewcząt — **Anita Topolska,** uzyskuje 53,64 m. Doskonale zbudowane gdynianki nie spełniają pokładanych nadziei.

Ostateczna rozgrywka — 800 m

Przeżywamy radosny moment. W biegu na dystansie 800 m (ostatnia konkurencja czwórboju!) **Tomek Romanowski** zajmuje drugą lokatę. Czas 2:06,06 min. Minimalnie wyprzedza go późniejszy zwycięzca w punktacji indywidualnej — **Oleg Marczuk** (ZSRR).

Ogromna radość panuje w ekipie gospodarzy zawodów. Oto **Urlika Gandig** przybiega do mety jako pierwsza — wynik wspaniały, 2:21,48. Ten rezultat zapewnia jej nie tylko wysoką lokatę indywidualną po wszystkich konkurencjach, ale także „wyprowadza" drużynę enerdowskich dziewcząt na trzecie miejsce. Zespoły naszych zachodnich sąsiadów już dawno nie zdobyły równie eksponowanego miejsca, ale w Poczdamie wykorzystały atut własnego boiska.

Teksty i zdjęcia
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

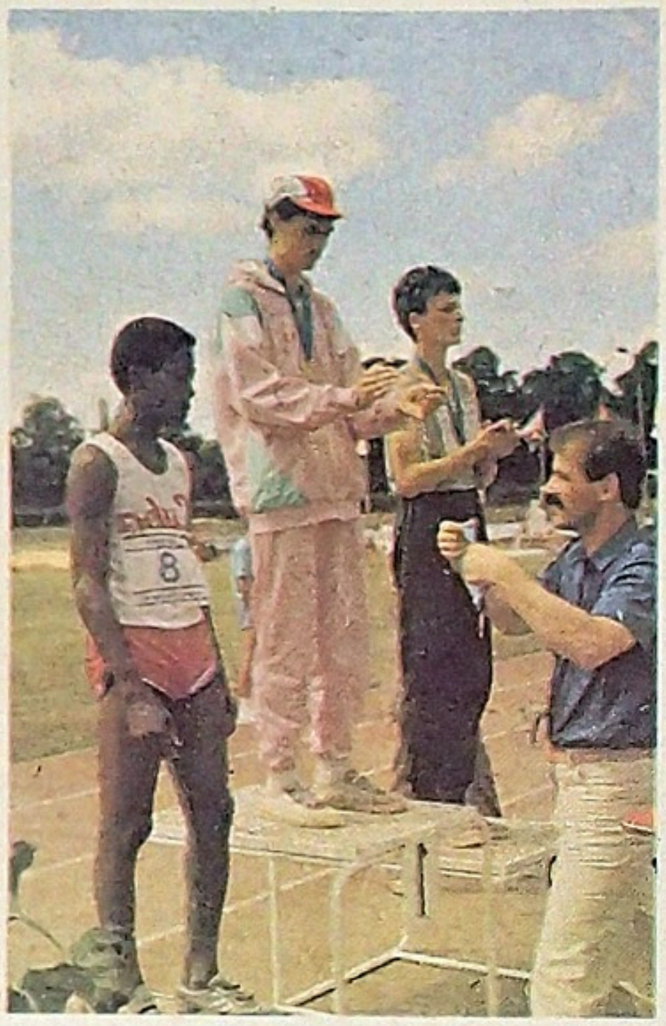

Radosny moment. Reprezentant Piły (szkoła nr 4), Piotr Tymko, odbiera medal za zwycięstwo w biegu sprinterskim

▲ Nasze dziewczęta z ogromnym trudem kończyły poczdamskie zawody

Upał 35°. A Mongołki leżą opatulone od stóp do głów ▶

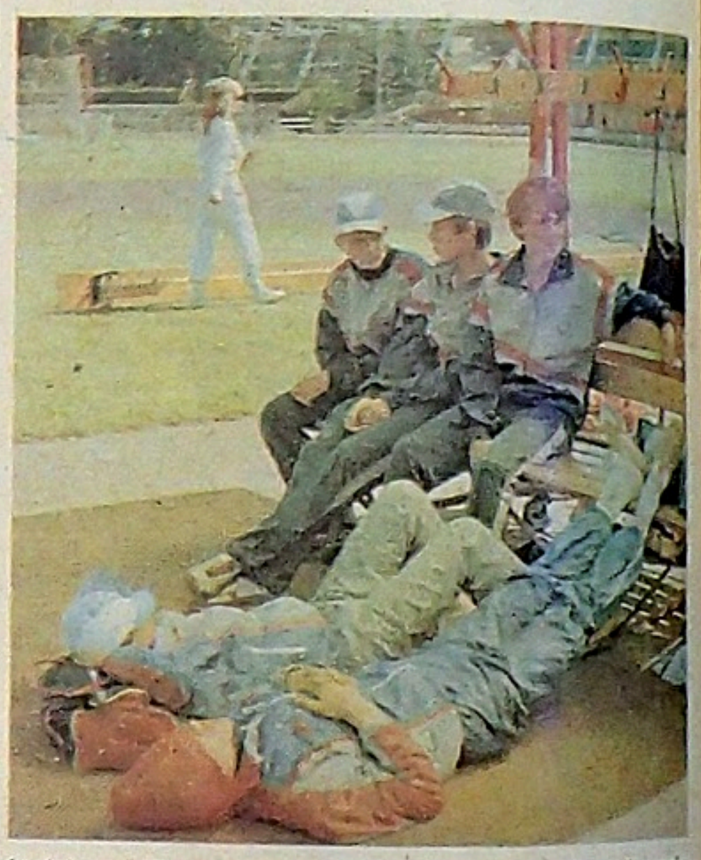

ki dały z siebie wszystko. Ale jeszcze raz podkreślamy: do czwórbojowych zawodów, zwłaszcza w tak doborowym gronie, nie były przygotowane.

Jak temu zaradzić? Co zrobić, aby w przyszłości nie powtarzała się taka — nazwijmy to po imieniu — kompromitacja! Sprawa jest niesłychanie prosta — do kalendarza sportowych imprez trzeba szybko wprowadzić czwórbój. Bo prawdą jest, co podkreślaliśmy w poprzednich latach wielokrotnie: liderki rozgrywanego w Polsce wieloboju wcale nie muszą być najlepsze w zawodach, którymi patronujemy. Jest jeszcze inne wyjście: przed wyjazdem na międzynarodowy finał można dla czołówki wieloboistów (np. sześciu najlepszych zespołów) zorganizować eliminacje w czwórboju. Nie dopiero wówczas do opisywanych wyżej zaskoczeń.

Nasze uwagi, nie po raz pierwszy zresztą, kierujemy pod adresem Zarządu Głównego Szkolnego Związku Sportowego. Jeszcze raz apelujemy o pełną rehabilitację czwórboju. (zp)

WIDZIANE Z TRYBUN

Czwórbój powstał w Polsce. Jego dynamiczny rozwój (w roku 1956 startowało zaledwie kilkadziesiąt drużyn, cztery lata później — kilkaset, a w 1960 roku już kilka tysięcy) dowodził, że jest to impreza potrzebna. Popularność zawdzięczał czwórbój między innymi prostocie regulaminu — bo biegać, rzucać i skakać można było niemal na każdym przyszkolnym boisku. Zawody wywędrowały z Polski, spodobały się dziewczętom i chłopcom nie tylko z Europy, ale również z Azji i środkowej Ameryki. Możemy więc mieć powody do dumy, bo o puchar „Świata Młodych" walczy się obecnie na trzech kontynentach...

Ale, o dziwo, w Polsce czwórboju już nie ma. Zastąpiono go przedziwnym wielobojem, w skład którego weszła gimnastyka, rzut do tyłu piłką lekarską i kilka innych konkurencji. Od lat nad Wisłą nie skacze się wzwyż — paradoks to nad paradoksy, preferuje się siłę, a nie ogólną sprawność. Żeby było jeszcze smutniej postanowiono, że na międzynarodowe finały czwórboju wyjeżdża drużyna, która wygrała u nas... ów wielobój.

I stało się. Międzynarodowe zawody są dla polskich ekip istną drogą przez mękę. Przegrywamy w tak przerażający sposób, że aż żal patrzeć. W sporcie zawsze ktoś musi przegrać — taka jest jego istota, ale po walce, po rywalizacji do ostatniej sekundy pojedynku. W Poczdamie nasi pozostawali w tyle (poza nielicznymi wyjątkami) już na starcie. Dotyczy to głównie dziewcząt. Solidnie zbudowane gdynianki, liderki wieloboju sprzed roku, ustępowały rywalkom prawie w każdej konkurencji, zwłaszcza na skoczni wzwyż, w rzucie piłeczką. Tu braki technicznego wyszkolenia były aż nadto widoczne. Efektem tego są dalekie pozycje w indywidualnej i zespołowej punktacji. Nie chcę być gołosłowny, na poczdamskim stadionie zobaczyliśmy 62 zawodniczki. Polki zajęły następujące lokaty: 35, 42, 43, 51, 53, 58, 62. Tak odległych miejsc naszych reprezentantek nie odnotowaliśmy dotąd nigdy.

Prawdą jest, że dopiero w przeddzień zawodów dowiedzieliśmy się, że obowiązuje bieg na dystansie 800 m, a nie 500 m, jak przewidywano przed startem. Ale zmianą dystansu zostały zaskoczone niemal wszystkie uczestniczki imprezy. I jakoś dawały sobie radę. Nasze dziewczęta padały za metą krańcowo wyczerpane...

Nie piszemy o tych faktach dlatego, że mamy do nich pretensje, że nie doceniamy ich wysiłku, walki, albo nie zauważamy ambicji, z jaką stawały na starcie. Przeciwnie, gdynianki dały z siebie wszystko. Ale jeszcze raz podkreślamy: do czwórbojowych zawodów, zwłaszcza w tak doborowym gronie, nie były przygotowane.

Jak temu zaradzić? Co zrobić, aby w przyszłości nie powtarzała się taka — nazwijmy to po imieniu — kompromitacja! Sprawa jest niesłychanie prosta — do kalendarza sportowych imprez trzeba szybko wprowadzić czwórbój. Bo prawdą jest, co podkreślaliśmy w poprzednich latach wielokrotnie: liderki rozgrywanego w Polsce wieloboju wcale nie muszą być najlepsze w zawodach, którymi patronujemy. Jest jeszcze inne wyjście: przed wyjazdem na międzynarodowy finał można dla czołówki wieloboistów (np. sześciu najlepszych zespołów) zorganizować eliminacje w czwórboju. Nie dopiero wówczas do opisywanych wyżej zaskoczeń.

Nasze uwagi, nie po raz pierwszy zresztą, kierujemy pod adresem Zarządu Głównego Szkolnego Związku Sportowego. Jeszcze raz apelujemy o pełną rehabilitację czwórboju. (zp)

WYNIKI OFICJALNE

Dziewczęta, indywidualnie: 1) Timea Toth (Węgry) — 417 pkt.; 2) Lorodana Baden (Rumunia) — 398; 3) Timea Lavai (Węgry) — 391.

Chłopcy, indywidualnie: 1) Oleg Marczuk (ZSRR) — 419 pkt.; 2) Rafael Blanco (Kuba) — 418; 3) Gabor Kurucz (Węgry) — 395.

Dziewczęta, zespołowo: 1) Węgry — 1855 pkt.; 2) Czechosłowacja — 1845; 3) NRD — 1762; 4) Bułgaria — 1658; 5) ZSRR — 1652; 6) Mongolia — 1611; 7) Rumunia — 1607; 8) Polska — 1523; 9) Kuba — 1479.

Chłopcy, zespołowo: 1) Kuba — 1799 pkt.; 2) Mongolia — 1785; 3) Węgry — 1784; 4) ZSRR — 1772; 5) NRD — 1728; 6) Czechosłowacja — 1678; 7) Bułgaria — 1645; 8) Polska — 1567; 9) Rumunia — 1377.

Punktacja łączna: 1) Węgry — 3639 pkt.; 2) Czechosłowacja — 3523; 3) NRD — 3490; 4) ZSRR — 3424; 5) Mongolia — 3396; 6) Bułgaria — 3303; 7) Kuba — 3278; 8) Polska — 3039; 9) Rumunia — 2984.

U WRÓT MORSKIEGO ŚWIATA

Z dr. RYSZARDEM KOTLIŃSKIM rozmawia Sławomir W. Malinowski

— Rozwój przemysłu, ciągłe dążenie człowieka do produkowania coraz większej ilości dóbr materialnych, powoduje wyczerpywanie bogactw mineralnych na lądzie. Sięgamy więc do morza, już nie tylko po to, żeby mieć co jeść, ale również aby mieć z czego produkować...

— Zasoby na lądzie wyczerpują się i nic nie możemy na to poradzić. Są również inne przeszkody, zmuszające nas do podejmowania takich działań, o których warto — moim zdaniem — choć wspomnieć. Pamiętajmy, że do wielu kopalin trudno dotrzeć i ze względów ekonomicznych jest to dzisiaj nieopłacalne. Innych nie ruszamy, aby nie narażać na niebezpieczeństwo naturalnego środowiska.

— Co ma pan na myśli?

— Chociażby eksploatację żwirów. W regionie nadmorskim problem ten daje się szczególnie we znaki, gdyż brakuje kruszywa przydatnego, a wręcz niezbędnego budownictwu. Wprawdzie na lądzie są jeszcze jego złoża, ale by rozpocząć ich eksploatację, musielibyśmy zniszczyć wiele hektarów użytków rolnych lub terenów leśnych.

— Powiedzmy, iż zamierzamy wydobyć z lądu około miliona ton kruszywa. Jak duży teren uległby dewastacji?

— Aby lepiej to panu zobrazować, posłużę się porównaniem. W przypadku kruszyw morskich uzyskanie takiej ilości surowca możliwe jest z jednego kilometra kwadratowego. Załóżmy, że tyle samo będziemy chcieli wydobyć z lądu. Tutaj, już do tego jednego kilometra kwadratowetgo musimy doliczyć dodatkową powierzchnię niezbędną do wybudowania bazy technicznej. Ale to jeszcze nie wszystko, ponieważ coś trzeba będzie zrobić z nadkładem, czyli ziemią, która została usunięta, by dostać się do złóż kruszywa. Zatem poeksploatacyjne szkody górnicze są w tym przypadku niewspółmiernie większe. A i koszty również. Jeżeli chodzi o warunki morskie, to surowiec ten występuje wprost na dnie. To ogromnie ułatwia zadanie. Drugą sprawą, dość istotną, jest fakt, że morze potrafi samo „leczyć" rany swego dna. To znaczy, wyrównywać piaskiem zagłębienia spowodowane pracami wydobywczymi. Poza tym, na lądzie nie ma tak dobrych kruszyw. Morskie nadają się do produkcji najlepszych betonów.

— Rozmawiamy o kruszywie, a przecież zajmujecie się także innymi materiałami i badaniami...

— Owszem, zmierzają one chociażby do poznania ewolucji Morza Bałtyckiego, procesów zachodzących na jego dnie. W ramach programu „Intermorgeo" — RWPG, prowadzimy także badania oceanu światowego. Uważamy, że surowcami, które w przyszłości będą miały olbrzymie znaczenie dla naszego przemysłu, szczególnie hutniczego, są minerały ciężkie — cyrkon, rutyl i monacyt. Bogactwa te znajdują się obecnie w fazie dokumentowania. Wspomnę jeszcze o bursztynie — cennym nie tylko ze względu na swoje piękno i znaczenie dla rzemiosła — a także o poszukiwaniach złóż ropy naftowej i gazu ziemnego. To na Bałtyku. Natomiast poza nim, najważniejszym bez wątpienia surowcem, który w najbliższej przyszłości przyniesie znaczne korzyści gospodarcze, są tzw. konkrecje żelazowo-manganowe, czyli skupiena różnych minerałów, żelaza i manganu zawierające kilkadziesiąt bardzo cennych pierwiastków. Zaliczyłbym do nich przede wszystkim mangan, nikiel, kolbalt i miedź. Oczywiście to

Jest współautorem pierwszej w Polsce dokumentacji podmorskich złóż kruszywa naturalnego na Ławicy Słupskiej. Za najważniejsze ze swoich prac naukowych — a napisał ich około 50 — uważa dotyczące litologii i litostratografii osadów bałtyckich. Ryszard Kotliński (ur. 17 marca 1947 roku w Krośniewicach, woj. płockie) jest geologiem, doktorem nauk przyrodniczych. Kieruje Oddziałem Geologii Morza Instytutu Geologicznego w Sopocie. Jest narodowym korespondentem International Union of Geological Science — Commision for Marine Geology, członkiem Polskiego Towarzystwa Geologicznego, Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa, Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi.

Fot. **W. Kutawiński**

co cenne, co piękne, natura ukrywa, podobnie rzecz się ma z konkrecjami.

— O ile się nie mylę, nauka nie potrafi dać jeszcze jednoznacznej odpowiedzi, jak one powstają...

— Istnieje kilka hipotez na ten temat, niemniej gdybyśmy chcieli uwzględnić najnowsze poglądy, to proces powstawania konkrecji jest zbliżony do stosowanego w sztucznej hodowli pereł. Substancje — pochodzące np. ze stref pęknięć tektonicznych lub związanych z wybuchami wulkanów na dnie oceanu — narastają koncentrycznie wokół jąder, którymi mogą być nawet... ułamane zęby rekinów! Warto dodać, że każda z warstw różni się zawartością poszczególnych metali; konkrecje odznaczają się — jak mówią geolodzy morza — swoją specyfiką geochemiczną. Na przykład na Pacyfiku (w polu Clarion-Cliperton) zawierają dużo kobaltu, a na polu peruwiańskim mają więcej niklu. Z ekonomicznego punktu widzenia, by rozpocząć wydobycie, nie powinno być ich na metrze kwadratowym mniej niż 7–10 kg, a są przecież obszary dna oceanicznego gdzie ilość konkrecji dochodzi do 25 kg! I jeszcze jedno ważne zastrzeżenie: podobnie jak kruszywo, występują one wprost na dnie.

— Jak bogate są te złoża?

— Dokładnie, to nikt nie jest w stanie powiedzieć. Ocenia się, że jest tego około 6 mld ton — to wersja optymistyczna, bardziej pesymistyczna głosi, że 4,5 mld ton. Tak czy inaczej, jest po co inwestować. Pomijając kwestię przeróbki konkrecji, istotnym problemem jest ich wydobycie. Występują bowiem na głębokościach od 3,5 do 6 tysięcy metrów. Poza tym nie wszystko jeszcze wiemy dokładnie. Przecież 71% powierzchni naszej planety zajmują morza i oceany, a to co do tej pory zrobiliśmy to początek badań, bardzo trudnych i kosztownych. Dlatego też tak istotną rzeczą jest skupienie sił wielu krajów w celu dokładnego rozpoznawania bogactw zalegających dno Wszechoceanu. Program „Intermorgeo" takie warunki stworzył, a wynikiem konkretnych działań realizowanych w jego ramach była decyzja Prezydium Rządu o przystąpieniu Polski do wspólnej organizacji „Interoceanmetal"*...

— ... czyli wspólnego przedsiębiorstwa krajów RWPG, które w ramach organizacji dna morskiego i zgodnie z konwencją Międzynarodowego Prawa Morza — to zastrzeżenie jest istotne — ma się zająć problemem badania, wydobycia i przeróbki metali z konkrecji.

— Oczywiście każdy z krajów dysponując swoim specyficznym rodzajem przemysłu (np. stocznie polskie budują doskonałe statki badawcze), ma szansę przedstawienia ofert dla organizacji i wykonania na jej zlecenie różnych prac. Bo przecież nie chodzi tu tylko o konkrecje. Innym bogactwem są iły metalonośne występujące na przykład w Morzu Czerwonym, polimetaliczne rudy siarczkowe zalegające niektóre strefy dna oceanu, czy konkrecje fosforytowe występujące na szelfie. Bogactwo surowców dna oceanicznego jest ogromne! I jeszcze jedno. Rozmawialiśmy przez cały czas o surowcach łatwo wydobywalnych, zalegających na powierzchni dna. Nic nie wiemy o dobrach ukrytych pod nim. Jest to sprawa dalekiej przyszłości. Niemniej myślę, że po roku 2000 na pewno po nie sięgniemy...

* W skład „Interoceanmetalu" weszły: ZSRR, Czechosłowacja, Bułgaria, Polska, NRD, Wietnam i Kuba, przy czym nie wyklucza się udziału innych krajów w pracach tej organizacji.

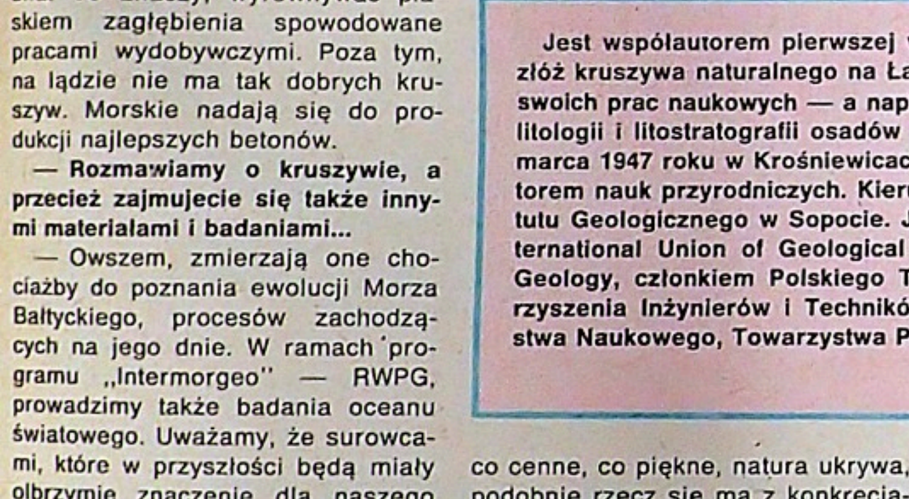

Pustynia Kara-Kum różni się ogromnie od najbardziej chyba znanej pustyni Sahary. Przede wszystkim dlatego, że okresowo — w czasie krótkiej zimy — panują na niej siarczyste mrozy i pokryta jest śniegiem. Natomiast wiosną i jesienią zalewają ją obfite nieraz deszcze. Rośnie tu więc dość dużo różnych roślin i to przystosowanych do znoszenia letnich upałów dochodzących do 50°C! Zagłębienia terenu są często zasolone i zarośnięte słonoroślami, jedynymi przedstawicielami flory wytrzymującymi takie warunki. Ruchome piaski tworzące wydmy, zwane tu barchanami, występują tylko gdzieniegdzie. Przeważa gliniasto-kamieniste podłoże, miejscami twarde jak skała. (jd)

Fot. **J. Dąbrowski**

Satelity śledzą rozwój pustyni

ZSRR (PAP). Jak tworzą się pustynie? Jak szybko zajmują one nowe tereny? Odpowiedzi na te pytania od dawna szukają uczeni radzieccy. Do badań procesów pustynnienia wykorzystuje się w ostatnich latach satelity. Poligonem badawczym są „czarne ziemie" w Kałmuckiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Są to tereny stepowe i półpustynne w szybkiem tempie przekształcające się w pustynię. W latach 1953 i 1963 wykonywane były zdjęcia lotnicze tych terenów. Później „czarne ziemie" były śledzone przez sztuczne satelity oraz stacje orbitalne „Salut 6" i „Salut 7". Sporządzono dokumentację fotograficzną tych terenów w latach 1976 i 1982. W początku lat pięćdziesiątych powierzchnia pustynnych piasków wynosiła niecałe 5 proc., w końcu lat sześćdziesiątych — już 10 proc., zaś w 1985 r. — 50 proc.

Jeśli nie podejmie się żadnych przeciwdziałań, proces pustynnienia będzie ulegał przyspieszeniu. W 1990 r. powierzchnia pustyni zwiększy się do 84 proc., zaś w 1992 r. cały obszar poligonu badawczego stanie się pustynnym nieużytkiem. Wyniki badań z „czarnych ziem" wykorzystuje się na innych terenach pustynnych w Związku Radzieckim — głównie w Azji Środkowej.

Sputniki na tropie sensacji

W ostatnim okresie kilka radzieckich satelitów m.in. Kosmos 1500, 1601, 1757 dostarczyło niezwykle interesujących informacji na temat przeszłości obszarów obecnej pustyni Kara-Kum. Na sputnikach zainstalowano bowiem precyzyjne radarowe sensory, z pomocą których wykryć można osobliwości niedostrzegalne ludzkim okiem. Określono m.in. przebieg wyschłych przed wiekami rzek Murgab i Tedshen. Zlokalizowano również szereg śladów osiedli ludzkich, które istniały przy źródłach wody, których od dawna nie ma. Ekspedycje naukowców, które zbadały wyznaczone przez satelity obszary, znalazły wiele interesujących śladów materialnej cywilizacji człowieka.

dawno... niedawno...

„Sprawa polska" na początku Wielkiej Wojny

Gdy w **sierpniu 1914 roku** wybuchła I wojna światowa, zwana wtedy Wielką Wojną — prawie wszystkie (z wyjątkiem radykalnie rewolucyjnych) partie i stronnictwa polityczne działające na obszarze trzech zaborów, niezależnie od wyznawanej ideologii i orientacji politycznej, zgodnie uznały, że wojna pomiędzy mocarstwami rozbiorowymi musi przynieść Polsce odzyskanie niepodległości. Ten pogląd kształtował nastroje w społeczeństwie polskim, tak stawiano sprawę w odezwach i memoriałach kierowanych do kancelarii dyplomatycznych państw europejskich toczących wojnę. Wydawało się, że ziściło się wielkie pragnienie Polaków, ujęte ongiś przez Mickiewicza w modlitwę „o wielką wojnę ludów".

Rachuby polskich polityków opierały się na przewidywaniu, iż, obojętnie czy wojnę wygrają państwa centralne (tzn. Niemcy i Austro-Węgry oraz ich sojusznicy), czy też Ententa (Francja, Anglia, Rosja i ich sprzymierzeńcy), nastąpi taka zmiana układu sił w Europie, że będzie możliwe powstanie niepodległego Państwa Polskiego. Wysiłek wojenny uczestników Wielkiej Wojny będzie bowiem tak wielki, że będą musieli zwrócić się o udział w niej żołnierza polskiego, a to postawi na porządku dziennym jeszcze ostrzej niż dotychczas „sprawę polską".

Rachuby te nie okazały się bezpodstawne. Już w pierwszych dniach Wielkiej Wojny naczelne dowództwa wojsk państw rozbiorowych zwróciły się z odezwami do społeczeństwa polskiego, z początku skwapliwie unikając wszakże konkretnych obietnic i sformułowań. I tak **9 sierpnia 1914** roku naczelne dowództwo niemieckich i austrowęgierskich armii wschodnich skierowało odezwę, zaczynającą się od słów: *„Polacy! Zbliża się chwila oswobodzenia spod jarzma moskiewskiego (...) Przychodzimy do Was jako przyjaciele. Zaufajcie nam! Wolność Wam niesiemy i niepodległość, za którą tyle wycierpieli ojcowie Wasi (...) Powstańcie, pomni Waszej przeszłości, tak wielkiej i pełnej chwały. Połączcie się z wojskami sprzymierzonymi (...) Przynosimy tu wolność i swobodę wyznaniową, poszanowanie religii, tak strasznie uciskanej przez Rosję. Niech z przeszłości i teraźniejszości przemówią do Was jęki Sybiru i krwawa rzeź Pragi i katowania unitów. Z naszymi sztandarami przychodzi do Was wolność i niepodległość".*

14 sierpnia głównodowodzący armii rosyjskiej, Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz w swojej odezwie napisał tak: *„Polacy! Wybiła godzina, w której przekazane Wam marzenie ojców i dziadów Waszych ziścić się może. Przed półtora wiekiem żywe ciało Polski rozszarpano na kawały, ale dusza jej nie umarła. Żyła ona nadzieją, że nadejdzie godzina zmartwychwstania dla Narodu Polskiego i dla pojednania się braterskiego z Wielką Rosją. Wojsko rosyjskie niesie Wam błogą wieść owego pojednania. Niechaj się zatrą granice, rozcinające na części Naród Polski. Niech Naród Polski połączy się w jedno ciało pod berłem Cesarza Rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska swobodna w swej wierze, języku i samorządzie..."*

W miarę wypadków wojennych te dość mgliste i nieprecyzyjne hasła i obietnice ulegały zmianom: **w listopadzie 1916** roku cesarze niemiecki i austrowęgierski proklamowali utworzenie państwa polskiego, związanego z Niemcami i Austrią, ale bez określenia jego granic, **w grudniu tego roku** car Rosji pisze o „odbudowaniu wolnej Polski", **w styczniu 1917 roku** prezydent USA, W. Wilson, wydaje orędzie, w którym postuluje utworzenie niepodległej Polski, **w marcu** rosyjski Rząd Tymczasowy zapowiada utworzenie niepodległego państwa polskiego, a **w październiku** rząd Lenina uznaje prawo narodu polskiego do samostanowienia bez żadnych warunków.

Tak więc nieoczekiwany przez nikogo przebieg I wojny i jej zakończenie, kiedy to trzy zaborcze imperia legły w gruzach, stworzyły sytuację, w której stało się możliwe odzyskanie niepodległości. Mimo niewoli, społeczeństwo polskie pod względem zorganizowania, stanu świadomości i nastrojów było na to przygotowane.

SZPERACZ

GWIAZDOZBIÓR LAG-6

AKTORZY W BIAŁYCH FARTUCHACH

Oglądając seriale „medyczne" gryziemy palce, gdy zamiera serce pacjenta na operacyjnym stole, a oddychamy z prawdziwą ulgą, kiedy niebezpieczeństwo zostaje oddalone przez cudotwórców w białych fartuchach. Nie, nie cudotwórców! Lubimy wierzyć, że ci ludzie są rzeczywiście niezawodni jak precyzyjne maszyny, że zmęczenie i problemy osobiste nie zmniejszają ich ofiarności w pracy, a równocześnie lubimy, gdy przypomina się nam, iż to tacy sami ludzie jak my — z troskami, kłopotami, radościami... Tak, te filmy wyzwalają nie mniejsze emocje niż obrazy sensacyjne, tyle że szlachetniejszej odmiany — ucząc szacunku dla nauki, tolerancji, poświęcenia, współczucia dla ludzkiego cierpienia. Krzepią serca.

Ostatnio na ekranach oglądaliśmy angielską „Przychodnię na prowincji". A pierwszym medycznym serialem, który uwielbiali oglądać polscy widzowie był angielski „Doktor Kildare" z połowy lat 60. Od tego czasu nasza telewizja sprowadza wciąż takie filmy. Z ostatnich, największym powodzeniem cieszyły się czechosłowackie seriale „Szpital na peryferiach" i „Karetka Pogotowia" oraz serial produkcji RFN „Klinika w Schwarzwaldzie".

W momencie zakończenia emisji odcinków tego filmu w TVP otrzymaliśmy masę listów z prośbami o zdjęcia i informacje na jego temat. Nie dysponowaliśmy nimi wówczas, ale dziś mamy doskonałą okazję do powrócenia do tematu. „Klinika w Szwarzwaldzie" jest modelowym wręcz przykładem udanego medycznego serialu. Widzowie nie zapomnieli jeszcze o bohaterach tego filmu, no i powstają przecież dalsze odcinki o perypetiach profesora Brinkmanna, jego syna i miłej siostry Christy. W przyszłości z pewnością obejrzycie je z dużym zainteresowaniem, bogatsi o wiedzę o tym serialu i wykonawcach głównych ról.

Film ten kręcony był w autentycznej klinice w miejscowości Glotterbad w Schwarzwaldzie u stóp gór Kranzkopft i Gulienkopft. Niestety, ta piękna niegdyś dolina w rzeczywistości straciła wiele ze swej urody, skażona cywilizacją. Nie ma tu też jeziora, tak pięknie filmowanego z lotu ptaka, naprawdę leży ono daleko, po drugiej stronie gór. Otoczony pięknym ogrodem dom profesora, z którego nawet spacerem mógł przybyć do kliniki, w rzeczywistości znajduje się w zupełnie innej miejscowości. Wiele sielskich, uzdrowiskowych krajobrazów filmowane było daleko na północy RFN w Szlezwiku-Holsztynie. Kamera starannie omijała, przypominający bunkier, gmach sąsiadującej z miejscem akcji innej kliniki. Wszystko po to, by stworzyć miejsce idealne dla tego typu wydarzeń.

Ale zajmijmy się bohaterami serialu. Profesor Brinkmann to prawie 60-letni mężczyzna o ciepłym, budzącym zaufanie, lekko zatroskanym uśmiechu. Gra go świetny austriacki aktor Klausjürgen Wussow. Należy on do znanego zespołu teatralnego — wiedeńskiego Burgtheater i specjalizuje się w repertuarze romantycznym i klasycznym. Grał Don Karlosa, Karola Moora i Mefista, wielu bohaterów sztuk Szekspira, ale nie stroni też od sztuk współczesnych. Od pewnego czasu chętnie występuje w filmach rozrywkowych i telewizyjnych serialach. Jest żonaty z aktorką i ma dwoje dzieci.

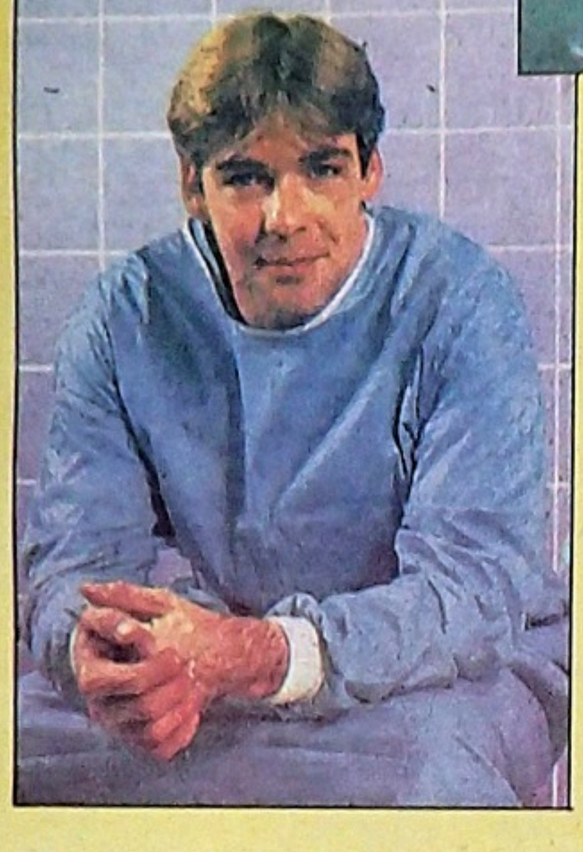

Wussow chciał być właśnie lekarzem. Jego życie ułożyło się jednak inaczej, górę wzięły artystyczne upodobania: został aktorem. Hobbistycznie do dziś uprawia malarstwo. Ale być może, że to właśnie ten sentyment do medycyny pomógł mu doskonale wcielić się w postać świetnego lekarza. Uważa tę kreację za swą życiową rolę i we wszystkich wypowiedziach broni serialu przed najmniejszą nawet krytyką.

Drugim ulubieńcem publiczności „Kliniki...": został Udo Brinkmann, syn profesora, grany przez młodego aktora niemieckiego Saschę Hehna. Przyszedł na świat w 1954 r. w rodzinie aktorskiej. Nic dziwnego, że zadebiutował już jako pięciolatek. Do telewizji trafił w 1966 r. grając w sztuce „Niech Robinson nie umiera". Od czasu przyjęcia roli w „Klinice..." stał się jednym z najpopularniejszych aktorów filmowych RFN. Grał i w innych serialach, ale nie tak eksponowane role — m.in. w „Starym" i „Derricku". Jedną z głównych ról zagrał natomiast w nieznanej polskiej publiczności, ale bardzo popularnej w RFN serii „Statek — widmo".

„Klinika w Schwarzwaldzie" — jej pierwsze 12 odcinków nakręcił Alfred Vohrer. Gdy zmarł w 1986 r. zastąpił go Hans Jürgen Tögel.

Warto uświadomić sobie, że seriale medyczne są droższe i trudniejsze w produkcji od kryminalnych. Przede wszystkim w warstwie „medycznej" muszą dbać o prawdziwość i wiarygodność. Tak więc w „Klinice..." sceny na sali operacyjnej np. filmowane były nie w studio, a rzeczywiście w szpitalu, gdzie ekipa lekarzy korygowała zachowanie aktorów w najdrobniejszych szczegółach. Scenariusze zatwierdzali m.in. chirurg i internista.

Tak więc nie tylko artystom ale i lekarzom zawdzięczamy ten serial (i inne), który budzi poczucie bezpieczeństwa, nadzieję i wiarę, że w potrzebie troszczą się o nas ludzie mądrzy i dobrzy.

● **Zagadka na dziś: czy pamiętasz nazwisko aktorki grającej siostrę Christę?**

EWA BIELSKA
Fot. archiwum

DOM MODY świata młodych

WSZYSTKO W KROPKI

No, może nie wszystko absolutnie, ale bardzo dużo rzeczy może być w kropki. I sukienki, i bluzki, i spódniczki, i skarpetki, i chusteczki, i torebki, i kapelusze, i buty, i spodnie, i paski, i bransoletki plastikowe, i... Dopiszcie sobie same dalej.

Kropki są różne. Malutkie, zwane groszkami, średnie i całkiem wielgachne, o których się mówi — grochy. Mogą być na tło rzucone rzadko albo bardzo gęsto. Każdy zresztą sam dobrze wie, jakie mogą być i że może ich być w różnych kombinacjach zupełnie bez liku. I że są ładne — takie... trochę dziecinne jakby, ale mają dużo wdzięku. No, i że modne też są, bo dużo rzeczy się obecnie w kropki nosi.

Istnieją trzy sposoby modnego używania kropek.

Pierwszy — różne rzeczy w różne kropki noszone naraz, czyli taka kropkowa pstrokacizna. Tutaj wszystkie wielkości kropek i wszystkie kolory są dozwolone, ale przy komponowaniu całości trzeba troszkę uważać, żeby jakiś „piekący oczy" kicz z tego nie wyszedł.

Drugi sposób polega na oparciu się na jednym wariancie kolorystycznym kropek i komponowaniu stroju z rzeczy kropkowanych w tym tylko wariancie. Pozytywu z negatywem plus różne wielkości ewentualnie. Na zdjęciu jest taka szatka czarno-biała, ładna, prawda?

I sposób trzeci, który polega na łączeniu rzeczy kropkowanych z gładkimi. Te gładkie są albo w kolorze kropek, albo w kolorze tła. Mogą być zresztą i jedne, i drugie równocześnie. Np. bluzka biała, żakiet (rozpięty) biały w kropki różowe (lub różowy w kropki białe), a spódnica różowa.

Ten trzeci sposób ma swój... podsposób jakby. Sprowadza się on do tego, że nie nosi się ciuchów w kropki wcale, ale wyłącznie używa się kropkowanych dodatków. Jednego albo kilku na raz (ot, np. pasek, oprawka do okularów, chusteczka, torebka, pantofle...), reszta ciuchów jest wtedy oczywiście gładka, ale nie musi być w kolorze kropek lub kolorze tła. To są drobne rzeczy, te dodatki, i mogą być całkiem inne, bo to tylko takie kropkowane akcencik są. Jak np. ta czerwona chusteczka w białe groszki przywiązana do szlufki dżinsów.

Jak z tego widać, możliwości kropkowanych jest strasznie dużo i można z nich korzystać w bardzo różnym stopniu. To jest bardzo wygodne. Bo to w ogóle bardzo wygodny wzór, te kropki. Za tydzień będzie o nieco mniej wygodnym — pastelowych, mdłych kwiatkach, które za to... Proszę o 7 dni cierpliwości!

RIUSZKA

Żubr - samotnik

(PAP). Pod koniec ubiegłorocznego lata w gminie Zabłudów w pobliżu Białegostoku, pojawił się żubr-samotnik. Szukał towarzystwa pasących się krów, a teraz przebywa w zagajniku koło wsi Folwarki Tylwickie.

Samotne wędrówki żubrów zdarzają się dość często, lecz przeważnie podejmują je starsze okazy. Ten spod Zabłudowa jest jeszcze młody, najwyżej pięcioletni. Jak się przypuszcza, żubr odłączył się od swego stada pięć lat temu zwierząt żyjących swobodnie w Puszczy Knyszyńskiej. Nie wiadomo, czy samotnik wróci do stada, czy trzeba go będzie tam przetransportować.

Fot. archiwum

UWAGA:

młodzież w wieku od 16 do 18 lat

13-21 Ochotniczy Hufiec Pracy w Rudzie Śląskiej działający na rzecz Kombinatu Budowlanego w Chorzowie prowadzi nabór uczestników na rok szkolny 1988/89, umożliwiając ukończenie Zasadniczej Szkoły Zawodowej oraz uzupełnienie wykształcenia podstawowego w Podstawowym Studium Budowlanym w zawodach:
— murarz-tynkarz
— betoniarz-zbrojarz
— cieśla budowlany
— monter instalacji sanitarnych.

W trakcie 2-letniego pobytu w hufcu zapewniamy Ci:
— bezpłatne zakwaterowanie
— bardzo dobre warunki socjalno-bytowe
— częściowo odpłatne wyżywienie oraz umundurowanie organizacyjne
— wynagrodzenie w systemie czasowo-premiowym
— urlopy zgodnie z Kodeksem Pracy
— szeroką możliwość korzystania z bazy do działalności kulturalno-oświatowej i turystyczno-sportowej przedsiębiorstwa i hufca.
— możliwość uczestnictwa w wakacyjnych hufcach zagranicznych.

Dokumenty wymagane przy przyjęciu:
— podanie i życiorys
— 3 zdjęcia
— dokument stwierdzający tożsamość z potwierdzeniem stałego miejsca zameldowania
— wkładka zaopatrzeniowa.

Jeżeli jeszcze nie zdecydowałeś się — pełną informację uzyskasz, pisząc pod adresem:

KOMENDA 13-21 OHP w RUDZIE ŚLĄSKIEJ ul. Wolności 90 telefon — 482-347 lub 482-351.

K-146

WIT-ek ● WIT-ek

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

W 1944 roku Kopernik wraz z figurą Chrystusa (tą sprzed kościoła św. Krzyża) trafił na złomowisko pod Nysą. Obie statuy wracały do Warszawy z pozwoleniem wydanym przez odpowiednie władze: *„Zezwala się na przewóz Mikołaja Kopernika i obywatela Jezusa"*. Kopernik wrócił z pustymi rękoma, na szczęście astrolabium znaleziono w Lublinie, cyrkiel dorobiono i odnowiony, oczyszczony i kompletny pomnik odsłonięto po raz drugi uroczyście 22 lipca 1949 roku.

Teraz niektórzy rodzice wykorzystują ten pomnik do celów dydaktycznych: „Popatrz jak się prosto trzyma" — pokazują wzorowo siedzącego Astronoma swoim garbiącym się dzieciom.

● Czy wiecie, gdzie jest **Muzeum Sprzętu Gospodarstwa Domowego?** — w Ziębicach, niedaleko Wrocławia, w ratuszu (pl. 15 Grudnia 44). Muzeum otwarte jest w środy, czwartki i piątki od 10^{00} do 15^{00}, w soboty i niedziele od 10^{00} do 17^{00}.

● WIT-ek zachęca wszystkich, którzy znajdują się w Świnoujściu, aby nie siedzieli bezczynnie na plaży, ale aby spenetrowali trzy świnoujskie wyspy: Wolin, Uznam i Karsibor, a ci, którzy będą w Kamieniu Pomorskim niech wiedzą, że w każdy piątek aż do 2 września mogą słuchać koncertów XXIV Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej.

Jak się z NIMI SKONTAKTOWAĆ?

Chciałbym podzielić się z innymi czytelnikami tego działu refleksjami na temat sposobów nawiązania łączności z hipotetycznymi cywilizacjami pozaziemskimi. Od wielu lat zadajemy sobie pytania: czy jesteśmy sami we wszechświecie?, czy istnieje możliwość nawiązania łączności z innymi cywilizacjami? Człowiek usilnie szukał odpowiedzi na te i inne pytania.

Pierwsze próby nawiązania kontaktu opierały się na znakach optycznych. Jedną ze śmielszych propozycji wysunął w 1820 r. wybitny fizyk i matematyk, Karol Gauss. Zaproponował on wycięcie w lasach Syberii wielkiego trójkąta — równobocznego. Płaszczyzny poza jego bokami miały być obsiane pszenicą. Ten znak, jak i inne figury geometryczne miały dać do zrozumienia hipotetycznym mieszkańcom Marsa lub Wenus (wierzono wtedy w ich istnienie), iż Ziemię zamieszkują istoty inteligentne. Dziś, dzięki materiałom dostarczonym przez międzyplanetarne sondy automatyczne wiemy, że życie nie znalazło tam sprzyjających warunków do rozwoju.

Przełomowym momentem dla prób nawiązania kontaktu stała się nowa gałąź astronomii zajmująca się promieniowaniem kosmicznym. Jest nią radioastronomia. W 1959 r. powstał pomysł wykorzystania fal radiowych do łączności między dwoma cywilizacjami. Szukano jednak kanału, na którym można by prowadzić nasłuch, a który byłby znany wszystkim istotom rozumnym. Za wzorzec takiego kanału posłużyła „radiowa linia wodoru" o długości 21 cm i częstotliwości 1420 megaherców. Rozpoczęto więc radiowy podsłuch kosmosu. Prowadzony był głównie przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Związek Radziecki. Mimo iż nasłuch prowadzony był bardzo starannie, nie natrafiono na sygnały obcego pochodzenia.

Lecz ludzie nie tylko oczekiwali wiadomości z otchłani kosmosu. Postanowili dać znak mówiący o naszym istnieniu. Jedna z pierwszych wiadomości umieszczona została przez załogę statku Apollo 11 na powierzchni Srebrnego Globu. Plastykowa skrzynka zawierała pozdrowienia w 74 językach, Biblię, fragment Księgi Rodzaju, oraz wyjątek z kodeksu USA o nawigacji powietrznej i kosmicznej. Jednak najbardziej znaną „przesyłką kosmiczną" była pozłacana płytka umieszczona we wnętrzu sondy automatycznej „Pioneer 10". Opis jej był już zamieszczony w Tomiku, więc nie będę go powtarzał. Sonda „Pioneer 10" po osiągnięciu trzeciej prędkości kosmicznej opuściła już nasz Układ Słoneczny i być może zostanie kiedyś przechwycona przez obce istoty i dostarczy ważnych informacji o nadawcach.

Najprostszym sposobem nawiązania kontaktu są fale radiowe. Podejmowano już próby wysyłania informacji za pomocą tego nośnika informacji. Na uwagę zasługuje tutaj depesza wysłana w kierunku gromady kulistej „Messier 13". Jako stację nadawczą użyto największego na świecie radioteleskopu o średnicy czaszy 300 m, który znajduje się w Arecibo (Puerto Rico). Moc emitowanego sygnału była ogromna, dwa i pół raza większa od mocy wszystkich elektrowni na Ziemi. Biorąc pod uwagę to, iż adresat tego kosmicznego listu znajduje się w odległości 24 000 lat świetlnych, na odpowiedź możemy na razie nie czekać.

Wszelkie próby podejmowane przez człowieka w celu nawiązania łączności nie dały na razie pozytywnych rezultatów. Nie znaczy to bynajmniej, że ONI nie istnieją. Wielkie odległości we wszechświecie ujawniają niedoskonałość tego środka łączności, którym są fale radiowe. Zgodnie z teorią względności Einsteina prędkość światła jest nieprzekraczalna, lecz ludzkość może w przyszłości będzie dysponować środkami umożliwiającymi szybszą wymianę informacji? Może kosmici odwiedzą naszą Ziemię osobiście? Na te pytania nie możemy jeszcze dać odpowiedzi. Musimy uzbroić się w cierpliwość, nie pozostając zarazem biernymi obserwatorami. Próbować trzeba dalej.

Tomasz Strzelecki

Kącik korespondentów

Uwaga, Daniel Michał oraz ci wszyscy, którzy chcieliby nabyć w PTMA obrotową mapę nieba. Otóż Tomasz (16 lat), (adres:) za pośrednictwem „ŚM" chce Wam pomóc w zdobyciu owej mapy. Pisze on do mnie, że jest członkiem PTMA i posiada odpowiednie blankiety i cennik ofert towarzystwa. Np. chcąc kupić obr. mapę nieba należy wypełnić odpowiedni blankiet, zapłacić 350 zł (cena mapy 250 zł + 100 zł koszt wysyłki) i tenże blankiet wysłać pod adresem PTMA (ZG PTMA, 31-027 Kraków, ul. Solskiego 30/8). Po pewnym czasie, często dość długim (niewielka liczba pracowników PTMA) upragniona przesyłka nadejdzie do was z Krakowa.

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii prowadzi sprzedaż wysyłkową również innych swoich wydawnictw, a także szkieł optycznych do budowy amatorskich lunet. Informacje szczegółowe otrzymacie pisząc bezpośrednio do ZG PTMA.

Interesuję się fantastyką i od niedawna astronomią. W związku z tym poszukuję następujących książek: „Atlas nieba", „Atlas gwiazd", „Poradnik miłośnika astronomii", „Nasze gwiazdozbiory", a także książek na temat naszego układu planetarnego. W zamian oferuję książki literatury pięknej m.in. H. Sienkiewicza, H. Ożogowskiej, Z. Nienackiego, K. Makuszyńskiego, A. Szklarskiego, Londona, Kiplinga, Wenica, Verne'a... Poszukuję także gry SF firmy Encore „Ratuj swoje miasto", komiksu „Lądowanie w Andach" itp. Za poszukiwane pozycje mogę zapłacić gotówką. Piotr (15 lat),

Uwaga, pisząc do kącika korespondentów podaj imię i nazwisko, wiek lub klasę, do której chodzisz oraz krótko sprecyzowane zainteresowania. „Świat Młodych" nie bierze odpowiedzialności za treść ogłoszeń i prowadzone między Czytelnikami transakcje finansowo-wymienne.

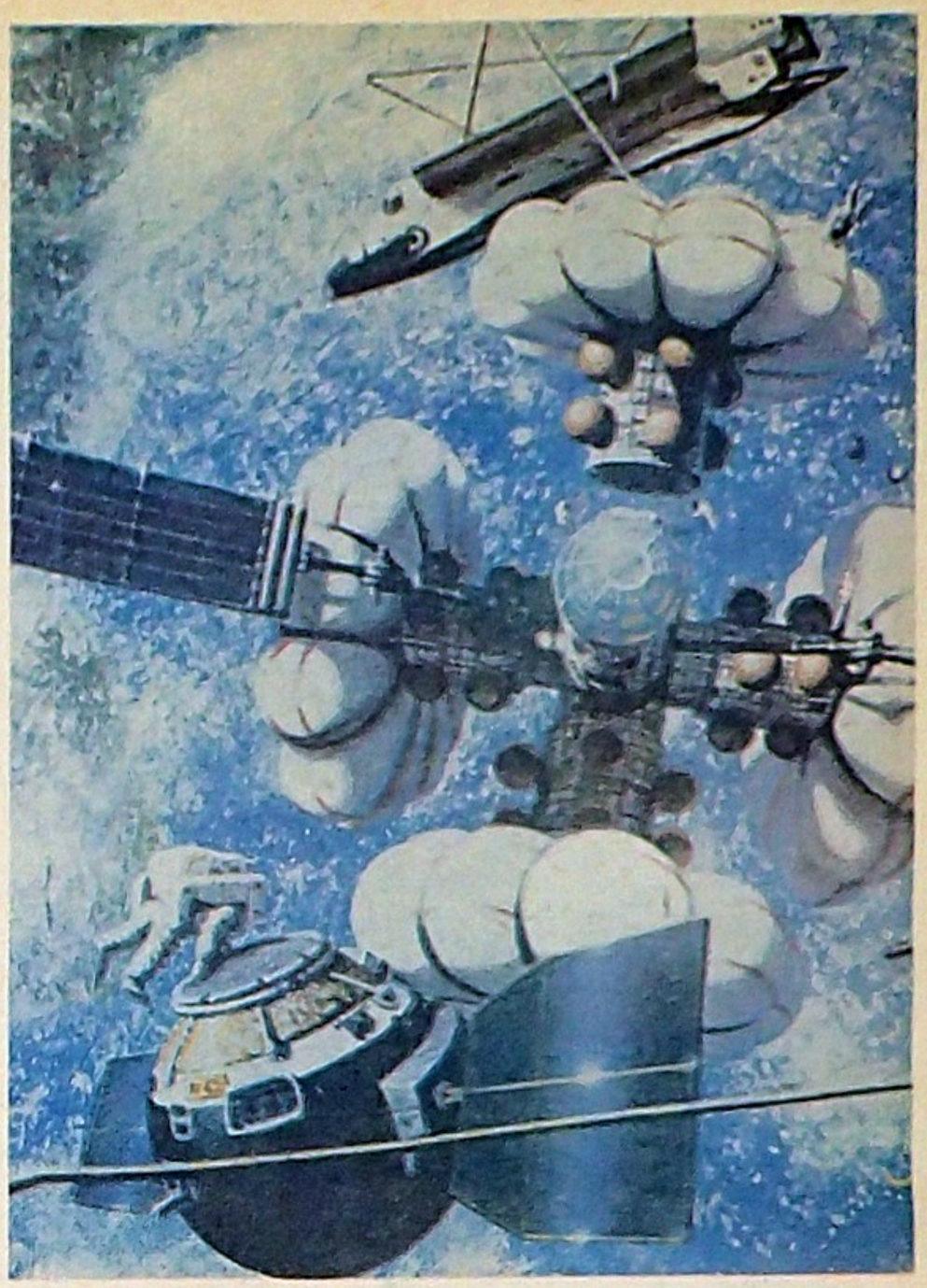

Budowa dużych stacji orbitalnych umożliwi tam instalację teleskopów, które mogą zwielokrotnić szanse odszukania innych układów planetarnych, a co za tym idzie również innych cywilizacji ▶

Jak ożyła Ziemia

Gdzie powstało życie — w kosmocie czy na Ziemi? W jaki sposób początkowo martwy ziemski glob zyskał bujną biosferę? Odpowiedzi na te pytania szukają od wielu lat uczeni — astronomowie, geolodzy, chemicy, biolodzy.

Złożone związki organiczne — aminokwasy stanowiące podstawę dla syntezy białka spotyka się w skupiskach pyłów kosmicznych i w meteorytach. Złożone substancje organiczne występują też w kometach. Kosmos był — zdaniem uczonych — nie tylko wielką retortą chemiczną, gdzie powstawały skomplikowane molekuły i złożone związki organiczne, ale także dostawcą tych substancji na Ziemię. Powstające w kosmosie związki stały się w ziemskich warunkach „zalążkami" życia. Zwrócono jednak uwagę, że takie same związki tworzą się we wnętrzu wulkanu. Podobne reakcje mogą zachodzić także w chmurach burzowych pod wpływem wyładowań elektrycznych.

Atomy węgla, tlenu, wodoru i azotu — podstawowych pierwiastków dla substancji organicznych prowadzących do powstania białka — mogą w różnych warunkach tworzyć identyczne związki. Organiczne związki mogą być prawo- lub lewoskrętne, ale wchodzące w skład żywej substancji są wyłącznie lewoskrętne. Przypuszcza się, że życie na Ziemi pojawiło się w okresie, gdy nasza planeta wraz z całym systemem słonecznym przechodziła przez fragment spiralnego rękawa galaktyki o wyraźnie lewej symetrii. Czyżby wpływ galaktycznego pola magnetycznego?

W ostatnich latach zaczęto szukać związków pomiędzy magnetosferą naszej planety a zachodzącymi na niej procesami biologicznymi. Ziemskie pole magnetyczne mogło mieć wpływ na powstanie i kształtowanie się życia na naszej planecie we wczesnym okresie jej dziejów. Magnetyzm ziemski jest unikalny w całym systemie słonecznym. Nasza planeta ma pole magnetyczne silniejsze 100 razy od Marsa i aż 20 tys. razy od Wenus. Magnetyzm ziemski wiąże się z ruchem wirowym planety. Kiedyś Ziemia kręciła się znacznie szybciej niż obecnie — co było nie bez wpływu na jej pole magnetyczne. Jak wykazują badania paleontologiczne, ruch wirowy ulega spowolnieniu w tempie 1 sek. na 60 tys. lat. W okresie dewońskim ziemski rok — czyli obieg naszej planety wokół Słońca — trwał 430 dni, a w permskim — 380 dni. Młoda Ziemia wirowała zapewne dwa razy szybciej niż obecnie, wytwarzając przy tym dużo silniejsze pole magnetyczne. Ten silny magnetyzm mógł być jeszcze jednym dodatkowym impulsem sprzyjającym syntezie białka i powstaniu życia. Takiego impulsu nie było na innych planetach z grupy ziemskiej.

Robert Karolak

— Jak dotąd — odrzekł zgryźliwie sierżant — nie ma przepisu, który by tego zabraniał.

— Wy mi tu!... — uniósł się porucznik, ale Golanko przerwał.

— Poruczniku. Pan stąd wyjedzie, a ja zostanę. To raz. A dwa, to i tak dużo, że mnie w Miasteczku szanują, chociaż myślę zawsze, jak władza każe.

Porucznik osłupiał.

— Jak władza wam każe? — podjął wstrząśnięty cynizmem podwładnego. — A wasze przekonania?

— Jestem ateistą — zapewnił go sierżant Golanko. — Ale jak tu w Boga nie wierzyć, gdy się ma proboszcza, który własnoręcznie ratuje syna milicjanta z topieli. No, niech pan powie, jak? — trzasnął obcasami i wyszedł.

Porucznik siadł za biurkiem i długo myślał nad złożonością sprawy. Nie miał do niej klucza. Nie omawiali tego ani na zebraniach, ani na kursie. Wszystko wtedy było proste, albo, albo. A tu zwykły sierżant Golanko, który nie powąchał żadnych nauk, mówi mu wprost o dowodach istnienia Boga, które, być może, nawet prawdziwie naoczne, nie zasługują na wiarę. Porucznik jeszcze raz złożył solenną przysięgę, że nie da się zakopać w miasteczku, w którym ludzie więcej wymagają od swoich sierżantów, niż w stolicy od ministrów. I na dodatek stale mają ich na oku.

Westchnął. Podszedł bliżej okna i otworzył je. Panowała senna cisza. Tylko opodal jakiś stary człowiek szorował miotłą po bruku, omiatając swoją posesję. Tuman kurzu wibrował w powietrzu. Inny stary wyrywał chwasty z grządek pod oknami domu i nie zadając sobie zbytniej fatygi, po prostu przerzucał je przez płot na ulicę. Porucznik już miał wychylić się i pouczyć starych o porządku, a zwłaszcza o tym, że przed zamiataniem należy dobrze polać ulicę wodą, lecz w tej samej chwili ostygł w zapale. Ludzie bowiem w tym sennym miasteczku mieli wyjątkowo cięte języki, a tak niewiele szacunku dla mądrości przepisów.

Mietek wszedł zdecydowanym krokiem do kuchni i równie zdecydowanie postawił nogę na taborecie.

— Czy w czymś takim można chodzić? — spytał.

Mama porzuciła obliczanie budżetu. Spojrzała. Tenisówka Mietka miała rozdziawiony czubek. W dziurze było widać umorusane palce. Mama kiwnęła na pozostałych synów. Wszyscy obejrzeli przedstawiony dowód rzeczowy. Przemawiał na korzyść Mietka.

— Jeżeli kupimy tenisówki — powiedział Łukasz powoli — nie starczy na piłkę.

— Właśnie — potaknęła mama i siadła na taborecie. Przez chwilę myśleli intensywnie w piątkę, jak z tego wybrnąć. Był dwudziesty piąty maja, czyli za pięć dni Tata przyniesie pieniądze. Budżet na następny miesiąc został właśnie ustalony, pozycje przemyślane dokładnie. Okazało się, że po odłożeniu na rzeczy konieczne, pozostała jeszcze mała sumka na rzeczy nieprzewidziane. Do nich właśnie należała piłka, która wprawdzie była przewidywana od kilku miesięcy, lecz tylko na pięćdziesiąt procent. Co miesiąc wkładali swoje wnioski do pudełka po butach, a potem wyjmowali komisyjnie i ustalali, co jest niezbędne. I właśnie dzisiaj, kiedy piłka mogłaby nareszcie stać się ciałem, wyskoczyła konieczność w postaci tenisówek Mietka.

— Bo on bez przerwy kopie kamienie — rzekł z naganą Łukasz.

— Od czego są? — odrzucił Mietek.

— Nigdy się nie doczekam własnej hulajnogi — odezwał się Sreberko z goryczą.

— Masz po mnie — na to Mietek.

— Była cztery razy złamana — podniósł głos Sreberko. — Jeszcze się na niej zabiję.

Mama poruszyła się niespokojnie. Łukasz więc, dosyć szybko jak na niego, powiedział:

— Nie przesadzaj.

— Wszystko po nich donaszam! — podniósł znowu głos Sreberko, który miał dzisiaj swój dzień goryczy. — Jeszcze nigdy nie miałem własnej kurtki!

— Albo się jest ukochanym Sreberkiem, któremu wszystko wolno, albo się jest normalnym starszym synem! — na to Mietek surowo. — Trzeciej możliwości ja tutaj nie widzę. To będą te tenisówki czy nie?

Cdn.

Festiwal czarownic

Tekst i rysunki J. CHRISTA

ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Wychodzi: wtorki, czwartki i soboty.
PL ISSN 0137-

ADRES REDAKCJI: ... Warszawa ...
ADRES ODDZIAŁU: ... Katowice ...
REDAGUJE KOLEGIUM: ...

Opracowanie graficzne: Szarlota Pawel
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Barbara Boguszewska

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 2864/G/88. U-30.
Nakład 439 000 egz.

UŚMIECH NUMERU

PAN MĄDRALA kupuje młodą papugę.

— Ile lat może żyć taki ptak? — pyta sprzedawcę.

— No, około stu... ale nie mogę określić dokładnie.

— Dobrze! Poczekam i dokładnie sam sobie policzę...

*

LEKKO POTURBOWANA pani Mądralowa wchodzi do mieszkania i zwraca się z uroczym uśmiechem do męża:

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość! Czy wiesz, że od dzisiaj mamy w naszym garażu wjazd z przodu i z tyłu?

W DOLINIE KLONOWEGO LIŚCIA

Ewa Przybylska

22

Za nimi wyszła Golankowa. Za nią jej dzieci. Dotarli tak do furtki, przy której pozorując różne zajęcia stały wytrwale matki różańcowe.

— Pochwalony! — huknął na nie ksiądz.

— Pochwalony — odszemrały.

Ksiądz wyszedł na ulicę. Nagle olśnił go pomysł lepszy od najlepszych kazań, które mają to do siebie, że nikt, nawet najgorliwszy, nie wysłucha ich do końca uważnie. Zakręcił się na pięcie. Wycelował palec w parkan.

— Pięknie macie w domu, moja córko! — zagrzmiał, aby być dobrze słyszanym. — I dzieci skromnie się zachowują, nie licząc łopieńca... — utknął, sam zniecierpliwiony banalnością słów. Wyrąbał bez ogródek: — Pan Bóg widzi wszystko, moja córko. Żaden najpiękniejszy wyhaftowany sztandar nie ukryje przed nim prawdziwego oblicza ludzi... Żadne najwierniejsze trwanie na kolanach przed głównym ołtarzem... Bóg jest miłością i mądrością, a oszukać się nie da... Amen.

Tłumek zamruczał. Księdza nie obchodziło, czy jest w tym pomruku podziw, czy nagana dla zbyt ostrych słów. Ksiądz bowiem był już starym człowiekiem, a ci są bardzo uparci i zawsze przeprowadzą swoje.

Szedł wielkimi susami, jak zawsze, a za nim, ledwo nadążając, gospodyni Serafina, a za Serafiną, w rozproszeniu, matki różańcowe już podzielone na obozy.

Nagle w uliczkę wjechał gazik, a w nim porucznik i sierżant Golanko. Ksiądz nadal szedł środkiem jezdni, gazik więc musiał zjechać na bok i przystanąć. Ksiądz mruknął swoje gromkie pochwalony, a Golanko odsalutował, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Porucznik siedział sztywny i jak zamurowany, ponieważ nie znał żadnego przepisu na takie sytuacje.

Siedział i patrzył przed siebie. Nagle dostrzegł Golankową, jej dzieci i kilka kobiet powiewających rękami za odchodzącym księdzem. Porucznik zmarszczył brwi. Spojrzał na sierżanta. Ten również już domyślił się, z czyjego to domu wyszedł dobrodziej tak serdecznie żegnany.

Trzaskając obcasami w nierówny bruk sierżant przeszedł przed oczyma porucznika w stronę swojej żony, aby jej udzielić kilku pouczeń. Ona jednakże wciągnęła go do domu, nim zdążył otworzyć usta.

Porucznik czekał w gaziku, oparłszy łokieć o kierownicę. Przechodzące kobiety zaglądały mu z zaciekawieniem w twarz, ponieważ w ich oczach był za młody na mundur, a do tego przyjechał z Powiatu. Porucznik przysiągł sobie, że nie da się zamurować w takiej dziurze, w której ludziom się zdaje, iż między władzą a obywatelami są takie same układy, jak między zwykłymi sąsiadami.

Sierżant Golanko wyszedł z furtki całkowicie odmieniony. Porucznik, który był kawalerem, a małżeństwo znał z dowcipów, odczytał to po swojemu.

— Z babami tak zawsze — zagadnął, pragnąc okazać się koleżeński.

— Może porucznik ma babę w domu. Ja mam żonę — odrzekł sierżant Golanko.

Porucznik zamilkł oszołomiony. Odczekał, aż podjechali pod komisariat. Wielkie poczucie obowiązku, które porucznika nigdy nie opuszczało, a także jego dwadzieścia trzy lata, które czyniły go niezwykle dojrzałym, kazały mu udzielić podwładnemu nauczki. Domagał się także tego prestiż trzech gwiazdek, które porucznik nosił na ramieniu dokładnie od sześciu miesięcy.

— To u was był ksiądz! — stwierdził z naganą.

Dokończenie na str. 7